# TATERNIK

ORGAN SEKCJI TURYSTYCZNEJ
POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO
ORGAN OFICJALNY SEKCYJ TATERNICKICH A. Z. S. W KRAKOWIE I WARSZAWIE
WYCHODZI CZTERY RAZY DO ROKU

ROCZNIK XIV ZESZYT 2

*

TREŚĆ



*

KRAKÓW 30 CZERWCA 1930 R.

REDAGUJE PRZY WSPÓŁUDZIALE KOMITETU REDAKCYJNEGO
STANISŁAW KRYSTYN ZAREMBA, WILNO, UL. ZAMKOWA 11
(SEMINARJUM MATEMATYCZNE UNIWERSYTETU STEFANA BATOREGO)
ADMINISTRACJA: KRAKÓW, ULICA A. POTOCKIEGO L. 4
KONTO CZEKOWE SEKCJI TURYSTYCZNEJ P. T. T. NR. 409.570

NAKŁADEM SEKCJI TURYSTYCZNEJ POLSKIEGO TOW. TATRZAŃSKIEGO

# TATERNIK

ROCZNIK XIV ★ KRAKÓW, 30 CZERWCA 1930 R. ★ ZESZYT 2

ORGAN SEKCJI TURYSTYCZNEJ POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

ORGAN OFICJALNY SEKCJI TATERNICKIEJ A. Z. S. W KRAKOWIE
ORGAN OFICJALNY SEKCJI TATERNICKIEJ A. Z. S. W WARSZAWIE

## O ZAMARŁEJ TURNI

Oczami pionierów, oczami dawnych zdobywców złomiskich wierchów i użlebionych przełęczy, patrzę na tępy i płaski, poszczerbiony rysunek grani Kozich Wierchów. Na prawo: pomarszczony i siwy, mniejszy wierch — na lewo: przysadzisty, skrzesany wierch główny, głęboką szramą zgóry nadół nadcięty — złączony z sąsiadem szeroką, jakoby dwuramienną przełęczą. Szczyty i przełęcz — jednolitość gór wielkich i poznawanych...; i gdzież tu jeszcze szukać nieważkiego szczegółu, bastarda ogromu, tworu o nazwie groteskowo patetycznej i ponurej, nakazującej jak łóżko i cmentarz myślenie o rzeczach wiecznych? Któż to pierwszy wydobył ów garb z bezkształtu, nazwą go oznaczył i celem osobliwego wysiłku uczynił? Któż pierwszy — dokładny aż do uporu — wyodrębnił go kopcem szczytowym, opisem wejścia, klasyfikacją trudności?

Jak Żabi Koń poniżona między możnymi sąsiadami; drobna formacja skalna jakąś treść faktyczną tylko znawcom mówiąca; podrzędna turniczka w bocznej grani niewielkiego gniazda górskiego — urwisko ścienne śmiałe jak sport; smak walki, najcięższej; najbardziej zdradziecka góra tatrzańska!

Blisko, pod ręką, arena chwalby i próżności, boiskowych zawodów zarozumialstwa — arena klęsk —: południowa ściana Zamarłej Turni.

Wspomniał mi niedawno znakomity taternik doby minionej:

— Myśmy jej nie dostrzegali. Jest zasługą naszego węgierskiego przyjaciela pierwsze zwrócenie na nią uwagi.

Lecz ów doświadczony węgierski przyjaciel przegrywa próbę zdobycia. Skała strząsa go z siebie — ratuje lina — i wytrawny napastnik cofa się. Przychodzą jednak inni; tak samo pobici. Powstaje dookoła problemu wzbierający huczek, i rodzi się legenda. Poczyna się wyścig rywalizacyjny, zdyszany i zażarty, klubowości tej czy owej zaangażowanej ambicją niewątpliwego sukcesu («człowiekowi nic się nie oprze»). Góra broni się łatwą niepogodą — nie obroni się rzemieślniczej, zgrubiałej energji, nie obroni się wysiłkowi na akord, wyzwolonemu z sentymentów i bojaźni, wolnemu od sublimacji trudności psychicznych. 23 lipca 1910 roku: problem pada. Ale

już «przygody». I legenda: że każdą partję turystów musi w tej ścianie «coś» spotkać...

Elita przedwojenna w ataku. Kilka (parę!) sukcesów. W dzienniku «Słowo Polskie» ruchliwy turysta-społecznik po raz pierwszy szerzy wśród ceprów i laików sławę ściany. Pierwsi «chorzy na Zamarłą Turnię», jak w Szwajcarji zna wiedza medyczna chorych na Matterhorn.

Kilka (parę!) sukcesów — wiele (wiele!) niepowodzeń. Przymierze z zwierzęcym strachem; bezbronne, przez dzień i noc, wyczekiwania łaski wierzchołkowej pomocy; groteska podróży powietrznych na dwóch linach: tych, «którzy do samodzielnego przejścia ściany nie dorośli». Można być kobiecym mistrzem narciarskim — zbyt nikły to patent na bezpomocne przebycie Zamarłej Turni. Czy zawsze nerwy i płacz mają być obroną i wynikiem?

Wśród wojny, która pochłania 10 miljonów — Zamarła Turnia zdobywa sobie pierwszą ofiarę. Rozżarzona ponad instynkt pasja nie zespala z zwycięstwem, w rysie między trawersami, młodego ambitnego adepta, usiłującego obejść śmierć wybiegiem zgóry zwieszonej liny. Na podściennych piargach pierwsze zniekształcone zwłoki.

Młodzi —: znikome dawki zwycięstw mnożą się. Glorja zdobywcy — samotnika, pilota ślepego na ekspozycję. Pierwsi na ścianie, zuchwali i niebaczni, nowicjusze. Trup artysty, który nie zawahał się im przewodzić.

Lecz innych przygody — szczęśliwe. Zgwałcić ścianę, ukarać ją za bezczelny opór! — pięć razy pod rząd powtórzone składne jej przejście. Raz poskromieni, szturmować będziemy wytrwale i uporczywie, aż do pomyślnego skutku. Zamarłą Turnią nauczymy się sportu przestrzeni — my, boiskowi narciarze i ponumerowani zawodnicy.

Ależ tak, istna bania z wyprawami rozbiła się w Pustej Dolince! Są już i nowicjusze: wygrywający — są już i cudzoziemcy, zieleni z wrażenia — są już i kobiety, pierwsza Polka na drogach najtrudniejszych samodzielna — są już i młodzi, jeszcze z gimnazjum wspinacze, skorzy ufać gwieździe szczęśliwej. Rekord, rozluźnianie ucisku psychicznego przy równoczesnem podwyższaniu wymogów technicznych, «Zamarła Turnia jest tylko bardzo trudną wyprawą». Sumiennie i surowo więzi ścianę 17 a później 14 żelaznych kajdan, nim je do szczętu nie rozkuje żylasty, dufny sportowiec.

Ale przygody — wciąż. Jak przed wojną. Co sezon wołania o pomoc — pośpiech T. O. P. R.-u i podręcznych pomocników. Może się nie udać — nawet najlepszym; bywa, że przygody miewają — nawet najlepsi. Upał zwycięża zdobywcę zachodniej ściany Kościelca — a zdobywca jego wschodniej ściany, jak kot (nie! jak mistrz Krokwi...) skacze na platformę poza dolnym trawersem, od skał przewieszonej rysy odrzucony. Czasem jest wreszcie intermezzo komiczne: gdy się między niefałszowaną grozę ściany, bufonadę i blagę usiłuje przemycić.

Wreszcie: zamach najsroższy. Siły dwu młodych, samotnych panien chcą się zmierzyć z męską potęgą ściany. Choć już zpowrotem oznaczona

piętnem haków — ściana ma być zdobywana bez ich pomocy, czystym trudem życia. Pomyślcie: tak wątłe siły...

Na młodym, jesiennym śniegu, pod starczemi promieniami jesiennego słońca, dwa martwe i bezcelowe, krwi królewskością namaszczone ciała, w gasnącą przestrzeń głoszące nieśmiertelność poezji człowieka. Jakże prosty, i jakże wieczny symbol, klamry życia i śmierci.

Romantyk mówi: «Śmierć chroni od miłości, a miłość od śmierci».

* * *

I ja przystąpiłem do zespołu «przygodników», gdy zdobywałem ścianę, w przeddeszczowem cieple sierpniowego popołudnia. Wiatr — jak halny. Nas — czterech.

Precz z patosem, z nastrojami i wizją klęski! Musi być praca, systematyczna, celowa, wytrwała, bez fochów i grymasów — praca, co się zowie fachowa. Matematyku, fotografuj — panowie, wszystko jest w porządku. Do walki z górą nie wyrusza ambicja, brawura i pasja, lecz zimna, rachunkiem wymierzona, próba «uczonych w piśmie».

Te dwa momenty umacniają się w pamięci: dolny trawers, owo przemyślne przesuwanie się wpoprzek pionowej wygładzonej ściany, względnie łatwe jeśli wykonywane ze spokojem i z doświadczoną umiejętnością wykorzystania każdego chwyciku i każdego stopieńka, których tam właściwie nie brak; i dojście ku górnemu trawersowi, ową przewieszoną rysę, śmierci trojga osób już winną, w miarę wpływu lat coraz trudniejszą, skutkiem obluźniania się i wypadania tkwiących w niej a wspinaniu pomocnych bloków. I trzeci pośredni moment: że z uboczy, ze Zmarzłej Przełęczy, z Koła, ze Schodków — ciekawe oczy innych. Jak stoper — oczy. A skalne upłazy: pierwsze najprostsze trybuny.

Burza i odwrót. Odwrót — pierwsze w ścianie odważone i logicznie zaryzykowane schodzenie, z pod górnego trawersu, z pod górnego kominka. Decyzja spokojna — odmierzona dostatkiem lin i doświadczenia. Niezmiernie jest trudny dolny trawers przebywany pod włos, skałą zmywaną i nasiąkłą deszczem. A ostatnie, już po ciemku zjazdy, dopiero parę lat później, na zachodniej ścianie Łomnicy, znajdują w moich wspomnieniach swój odpowiednik, coprawda, wielkością tematu wielokrotnie spotęgowany.

* * *

Ze ścięć Zamarłej Turni widać wyraźnie i sugestywnie szerokie, rzewne zbocza Zaworów i Gładkiego — dotykalnie widać stawiarskie oczy dolin i bezpieczne, słońcem nabrzmiałe równiny. Ze skał Zamarłej Turni najbardziej natarczywie pyta się świat z zewnątrz: poco? a sumienie: czy wolno? (gdy pamięć o bliskich, gdy pamięć o sensie istnienia w obowiązku twórczości wyrażonym). Poco?

Odpowiadam: właśnie aby się móc realizować twórczością.

I odpowiadam jeszcze: emocjonalną wartość życia kształtuje pokonywanie śmierci. «Miłość i śmierć jak drzewo strzaskał piorun siły».

...Pamiętam młodzieńczość Lidki Skotnicówny, i dojrzałe, w długiej

pracy życiowej zahartowane taternictwo Doktora Świerza. Pamiętam innych, wszystkich innych, tak różnych a tak bliskich sobie na zakopiańskim cmentarzu. Legenda zmarłych i kult zmarłych.

Lecz nie wolno mi grozić, że ich los podzielę. Bronię się: «Spis problemów tatrzańskich», «Studja i materjały do Monograficznego Przewodnika po Tatrach», «Dzieje i teorja taternictwa»; zestawienia, wykresy, statystyka. Program działań, wyliczony jak budżet. A w działaniu: lęk i równowaga nerwów. Fachowość — jako przezwyciężanie śmierci.

Południową ścianę Zamarłej Turni znaczy dziś śnieg i lód. Teraz więc — aby zdobywać znienawidzoną niemożliwość. Niemożliwości niema — jest śmierć.

* * *

Pamiętam dostojną, metafizyczną grozę ściany, lecz pamiętam tak samo groteskowy z pod niej powrót. Bite burzą piargi i maliniaki Doliny Pustej, i — pomiędzy czernią czarnych chmur nocy — błyskawiczne strzały światła.

Już matematyk okularami zbrojny, bezradnie poślizgnął się na trawie i spada w kilkumetrową przepaść. «Panowie, ja lecę!» Śmiech. «...Ależ ja lecę o-kro-pnie!» Czapkę zgubił, szkła stłukł, poomacku człapał dalej.

Wspomnienia zachodzą za siebie, porówni zabawne i posępne. Lecz wszystkie w harmonijną całość złożone: Tatry. Tylko Tatry, Tatry.

J. A. SZCZEPAŃSKI

# O OPISACH DRÓG

Opis drogi związany był i jest ściśle z każdorazową fazą rozwoju taternictwa. Nie było go właściwie, gdy turysta chodził wyłącznie z przewodnikiem-góralem i opisu nie potrzebował. Pojawił się, gdy zaczęto się usamodzielniać. Był z początku niedołężny i ogólnikowy. Z konieczności — nie umiano bowiem nietylko nazwać, ale nawet dojrzeć szczegółów skalnej drogi. W miarę udoskonalania się taternictwa wykształcał się opis drogi. Wzbogacał się w szczegóły, stroił w dokładność, wyrabiał własny, specjalny styl. Od starego Eljasza, poprzez pierwsze roczniki «Taternika» i IV i III tom «Przewodnika po Tatrach» J. Chmielowskiego [1]) doszliśmy do chwili obecnej, gdy istnieją obok siebie dwa przeciwieństwa — «szara», choć szczytna teorja mallorystyczna o dalszem usamodzielnieniu turysty przez wytępienie wszelkiego opisu górskiego, i triumfująca praktyka: opis, skrajnie dokładny, nadzwyczaj szczegółowy i — przez wykluczenie użycia innej formy czasownika, jak imiesłów — rzekomo skondensowany.

Opis obecny jest taki, jak obecne taternictwo. Posiada cały jego rozmach, obfitość i wszystkie usterki. Nie trzeba być Mallorystą, by uznać w nim zbytnią przesadę dokładności i drobiazgowości — by wytknąć mu pozostawianie następcom niepomiernie skromnej dozy swobody.

[1]) Dzieje tych przemian, jak również wpływu, wywartego w tej mierze przez literaturę obcą, zwłaszcza tak popularny w swoim czasie przewodnik Dra Otto, są tematem dotąd niewyzyskanym a nader wdzięcznym. Historycy taternictwa mają tutaj pole do działania.

Celem opisu jest umożliwienie innym odnalezienia i przebycia tej samej drogi. Cel ten winno się osiągać najprostszemi środkami. A zatem treść opisu winna być ścisła a jednak zostawiająca posługującemu się nim maximum samodzielności, styl ma być jasny a zwięzły.

Wyjaśniam bliżej pojęcie ścisłości: opis podaje kierunek drogi w sposób jednoznaczny i niemylny, aby każdy orjentujący się w skale taternik mógł daną drogę odnaleźć. I nic więcej. Nie znaczy to zatem, by trzeba było opisywać każdy metr drogi, jak to się teraz praktykuje. Przecież, jeśli droga wiedzie czas jakiś wybitną i charakterystyczną formacją skalną (rysa, rynna, komin, żebro i t. p.), opisywanie każdego fragmentu tejże, każdego zaklinowanego bloku, każdego stanowiska asekuracyjnego, jest zupełnie zbędne. Jeżeli się opisze dobrze dojście do tej formacji skalnej, tak aby wykluczyć pomyłkę i obranie innej, podobnej, to potem wystarczy: «dnem rynny w całej jej długości» lub t. p. — niezależnie od tego, czy ta długość wynosi 20 czy 120 m! Bliższe objaśnienia tylko tam, gdzie się dno tej rynny opuszcza [1]).

A dalej: opis nie powinien zawierać wskazówek co do sposobu pokonywania danego fragmentu drogi. Piszę zatem: «ściankę pokonujemy przy pomocy rysy w jej środku», natomiast nie dodaję «klinując w niej lewą rękę i nogę, podczas gdy prawa ręka znajduje chwyty na skale». Coś trzeba przecież zostawić tym nieszczęsnym następcom i nie starać się kierować każdym ich ruchem i krokiem. Niechże mają możność pomyślenia bodaj nad fragmentem, gdy całość — już zrobiona przez innych — nie wymaga od nich pracy myślowej! Pomijam już okoliczność, że sposób wspinania się zależny jest od właściwości fizycznych turysty nieraz w tak dużej mierze, że korzystny dla jednego, może być wręcz niewykonalny dla drugiego.

Wbrew temu, w ostatnich czasach zjawiają się opisy dróg, względnie ich części, gdzie każdy ruch ręki, położenie ciała, nawet kierunek patrzenia jest zgóry przepisany! Czy nie absurd! Niektórzy uważają, że można być z takiej dokładności dumnym. Przypominają mi tego biednego wspinacza, który się chełpi umiejętnością przeprowadzenia kilku warjantów na 100 metrach kwadratowych skały.

W konsekwencji powiedzianego powyżej, skłonny jestem uważać za najidealniejszy opis drogi dobry, wystarczająco duży rysunek z dokładnie wykreśloną linją drogi i najniezbędniejszemi objaśnieniami. Kto wie, czy nie tak będzie wyglądał Przewodnik przyszłości?

Powiedzieliśmy styl jasny — styl zwięzły. Trudno te dwie cechy pogodzić i grzeszy się w tej dziedzinie bardzo wiele. Jasność stylu posiada niewątpliwie większą wagę od zwięzłości, która winna być pierwszej podporządkowana. Uważam, że dotąd naogół postępowano wprost przeciwnie. Jasność wymaga zdań krótkich, prostych. Tymczasem, dla zaoszczędzenia słów, dla zwięzłości, użyto w okresie wykształcania się opisu zdania złożonego, z przedmiotem oddalonym od orzeczenia nieraz długim szeregiem przydawek, dopełniaczy, dopowiedzeń i zdań wtrąconych. Rezultat nie był fortunny: zdanie takie trzeba dwa razy czytać. Pierwsza lekcja w celu wyłowienia z potoku słów przedmiotu, druga dla zrozumienia sensu. Niestety — właśnie ten styl rozpowszechnił się w naszych opisach najmocniej.

Gwoli zwięzłości, wygnano też z opisu orzeczenie — wszystkie «idziemy» «wspinamy się», «trawersujemy» i t. d. Można nie mieć nic przeciw temu,

---

[1]) Przykłady takiego opisu mamy już w literaturze taternickiej — patrz: Mały Kozi Wierch pn. ścianą. Taternik XIII. zesz. 2. str. 37.

ale trzeba stwierdzić, że jest to zwięzłość stylu w opisie przeobfitym zaswyczaj — rozwiązłym treściowo. Oszczędność jednego słowa tam, gdzie szeregi zdań są niepotrzebne.

Jeszcze raz: używać w opisie zdań krótkich, prostych — unikać wtrącań, nawiasów i t. p. Jasność opisu przedewszystkiem. Trzeba pamiętać o tem, w jakich warunkach fizycznych i psychicznych opis jest używany. Czyni to zrozumiałym postulat podawania w najłatwiej przyswajalnej formie.

Przedstawiwszy na razie, jak sobie wyobrażam zasady, według których powinno się konstruować opis, chcę teraz zwrócić uwagę na kilka szczegółów, które przy czytaniu naszych opisów specjalnie często nasuwają zastrzeżenia.

Jakże szwankuje np. obliczanie wysokości i odległości! Dotyczy to tak całości ścian, jak i poszczególnych fragmentów. Wyjątkowo tylko spotyka się w rękach taterników aneroid, to też nic dziwnego, że wysokość ścian z zasady mierzona jest na oko i ponad stumetrowe pomyłki nie są wcale rzadkie. Przypominam sobie np., że pd. ściana Małego Lodowego Szczytu uchodziła w swoim czasie za trzykrotnie wyższą od pd. ściany Zamarłej Turni, co odpowiadałoby wysokości ok. 360 m. Tymczasem wysokość tej ściany nie przekracza 200 m! Nawet mierząc na oko, nie wolno popełniać takich błędów, mając przecież zawsze w okolicy szereg punktów o wysokości znanej, z którymi można swój pomiar zestawić.

Pozornie dokładniejszym, faktycznie zaś zupełnie bezwartościowym sposobem jest mierzenie wysokości liną. Przechodząc ścianę, liczy się ilość długości liny, poczem cyfrę tę mnoży się poprostu przez długość liny. Nie trudno jest wykazać, w czem leży błąd takiej metody i jak dalece przesadzone cyfry się wedle niej otrzymuje [1]). Przedewszystkiem droga nie jest nigdy linją prostą, lecz zygzakowatą — następnie nie dąży pionowo ku zenitowi, lecz nachylona jest pod mniejszym lub większym kątem w stosunku do poziomu — wreszcie, jeśli nawet nasza «trzydziestka» ma rzeczywiście 30 m [2]), to zapomina się zbyt często odjąć od tego 4—6 m, zużytych na związanie się i asekuracyjne manipulacje — nakoniec nie wyciąga się przecież zawsze całej długości liny, więc trzeba czynić w obliczeniach odpowiednie poprawki, które są naturalnie całkiem dowolne. Wszystko to sprawia, że obliczona tą metodą cyfra jest fikcyjną.

To samo można bardzo często powiedzieć o podawanych długościach drobnych fragmentów drogi, przyczem zwykle i tutaj obserwuje się tendencję do przesady. Jest rzeczą bardzo trudną ocena wysokości danego fragmentu drogi — zwłaszcza gdy jest on pionowy i ogląda się go w silnym skrócie z dołu lub z góry. Godnem polecenia więc wydaje mi się nie używać określeń podających ściśle określoną cyfrę, lecz oceniać raczej w przybliżeniu: kilka — kilkanaście m. Wogóle zaś lepiej jest liczyć na metry, jak na długości liny, które są tak różne.

Znacznie łatwiejszem jest określenie c z a s u, potrzebnego na przejście drogi. Możemy go przecież dokładnie zmierzyć. Ale i w tej dziedzinie popełnia się liczne błędy. Zapomina się bowiem o tem, że należy podawać nie czas zużyty przy swojem pierwszem przejściu, lecz przybliżony czas obliczony dla dwójki turystów w pogodzie. A zatem trzeba uwzględnić od-

---

[1]) Znam wypadek, że w ten sposób obliczono na 400 m wysokość ściany, zamkniętą z wszelką pewnością w granicach 200—250 m.

[2]) Nieraz jednak zdarzało mi się stwierdzić, że t. zw. «30-metrówki» w handlu mają 24—28 m — raz wymierzyłem 18 m na linie, o której właściciel sądził, że ma 25 m.

powiednie poprawki, jeśli wyjście zdobywców odbywało się we trójkę [1]) lub w złej pogodzie lub — gdy szukanie drogi zabierało dużo czasu. Jakkolwiek zazwyczaj pierwsze wyjścia zabierają więcej czasu, niż następne, to przecie zdarza się czasem, że właśnie pierwsze wyjście odbywa się w tempie anormalnie szybkiem. Taternik doświadczony zorjentuje się w tem i poda czas dłuższy dla przejść normalnych. To samo uczynić należy, gdy się pewne odcinki drogi przebywało bez asekuracji. Trzeba bowiem stanąć na stanowisku, że i łatwe fragmenty drogi — jeśli tylko są eksponowane — będą zazwyczaj robione z asekuracją.

Zdarza się czasem, że turyści nie mają na wyprawie zegarka. Usiłuje się wtedy zrekonstruować czas przejścia na podstawie wiadomej godziny odejścia i powrotu do schroniska. Czasy, w ten sposób uzyskane nie mają absolutnie żadnej wartości i ich oczywista niekiedy mylność może dać powód do powątpiewania w prawdziwość i innych szczegółów danej tury. W takim wypadku najlepiej się poprostu przyznać: czas przejścia — nieznany. Podanie takiego, czy innego czasu nie jest przecież rzeczą mało znaczącą. I jeśli się zgodzimy, że podanie zbyt krótkiego czasu może mieć dla następców konsekwencje przykre, lub nawet zgoła groźne — to pamiętajmy, że absolutnie nie potrzeba pisać 4 godziny tam, gdzie się normalnie idzie dwie!

Za dalszy błąd opisów uważam przesadę w określeniach. Jej najznamienniejszy objaw wyraża się — w ostatnich zwłaszcza czasach — w formie coraz gruntowniejszego pozbawiania granitu tatrzańskiego danych mu przez naturę nierówności, które my, taternicy, nazywamy chwytami. Coraz częściej się mówi i pisze o przewieszonych (!), zupełnie lub niemal zupełnie chwytów i stopni pozbawionych ścianach i trawersach.

Ustalmy fakty. Można zdobyć komin, pozbawiony chwytów — zapieraniem się. Można przejść trawers, pozbawiony chwytów — przy pomocy istniejących jednak stopni. Nie można wyjść ścianką pionową, a cóż dopiero przewieszoną, pozbawioną — zupełnie czy niemal — chwytów. Ażeby pokonać takie, na granicy ludzkich możliwości leżące, miejsca, musi się mieć do dyspozycji 2—3 chwyty (i tyleż stopni) na przestrzeni jednego metra — a zatem... akurat tyle samo, ile ich używamy na drogach średnio trudnych! Choć bowiem mamy ich tam do dyspozycji 20, używamy też tylko 2—3: najwygodniejszych. I tu leży sedno sprawy. O trudnościach decyduje nie ilość chwytów, ale ich jakość. To, że są małe, źle rozmieszczone, trudne do wykorzystania. Że to, co na drodze łatwej jest chropowatością granitu — tu jest chwytem. Ale jest, być musi! Ich brak, czy niemal brak, wykluczałby zrobienie takiej drogi. Twierdzę, że mówienie o braku chwytów jest tylko pompatycznością stylu, której należałoby się pozbyć [2]).

W zakończeniu opisu czytamy zawsze charakterystykę ogólną drogi, gdzie mówi się o jej trudnościach i jej wartości, piękności i t. d. Zamknięte to jest zazwyczaj w jednem zdaniu, które nieraz brzmi dziwacznie. Czytamy: «droga piękna, lecz bardzo trudna» i pytamy się, co to znaczy? Dlaczego piękność drogi jest tu przeciwstawiona jej trudnościom? Przecież autor nie sądzi, że piękność stanowi o wartości drogi, a trudności ją

---

[1]) Jestem zdania, że trójka na jednej linie porusza się niemal dwa razy wolniej od dwójki. Czwórka turystów na drogach bardzo trudnych również, choć bowiem idzie zasadniczo w dwóch partjach, to — jak uczy doświadczenie — nie da się uniknąć wiązania w danych miejscach wszystkich razem w t. zw. «tramwaj».

[2]) Mógłby ktoś zarzucić podpisanemu, że niedawno sam zgrzeszył w tej dziedzinie w jednym z opisów zamieszczonych w poprzednim zeszycie «Taternika». *Mea culpa*, ale właśnie przedawniona: opis redagowany był 4 lata temu, a obecnie nie miałem sposobności go poprawić.

obniżają. Zrozumialej już brzmi «droga łatwa, lecz piękna», choć uważam, że wogóle przeciwstawianie piękności i trudności drogi nie ma sensu.

Dążmy do udoskonalenia, unowocześnienia opisu. W tej, czy innej, formie będzie on istniał zawsze. Nie dlatego, że «nie da się etycznie usprawiedliwić hasło, aby taternik wiadomość o swoich czynach i doświadczeniach górskich zatrzymywał w wyłącznej dla siebie tajemnicy» [1]), lecz dlatego, że opis czynu pomnaża i przedłuża jego sławę, a temsamem sławę jego twórców. Chcemy ostatecznie, by o nas wiedziano. Opis jest wreszcie jedynym dowodem dokonanego czynu. Bezpośrednio wprawdzie dowodu nikt nie wymaga, ale... lepiej jeśli jest. Utarła się zresztą opinja, że nie jest pełnowartościowym taternikiem, kto drogi swej opisać nie umie. «Nie wie, gdzie był».

Jan K. Dorawski.

# O PIERWSZEM PRZEJŚCIU TERJAŃSKIEJ PRZEŁĘCZY WYŻNIEJ.

W nowem, węgierskiem wydaniu Przewodnika Dra Gy. Komarnickiego znajduje się ustęp, który, w dosłownem tłumaczeniu, brzmi następująco:

«179. TERJAŃSKA PRZEŁĘCZ WYŻNIA (ok. 2337 m).

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

2. Z Doliny Hlińskiej (od pn.-wsch.). Nieco trudne. W Dolinie Hlińskiej musimy się przedewszystkiem wznieść do owego, wysoko nad jej dnem położonego, kotła (t. zw. «Wielki Ogród»), ograniczonego z l. strony potężną, od wsch. grani Hrubego Wierchu opadającą grzędą, z pr. strony zaś urwiskami Grani Hrubego (patrz pod rozdz. 178,5).

W Wielkim Ogrodzie wgórę, po stromych piargach, ku zatoce piarżystej, która, na pr. od najniżej sięgającej ostrogi skalnej pn. ściany Hrubego Wierchu, wysoko podchodzi pod ściany. Nasza dalsza droga prowadzi wychodzącą z owej zatoki, w dolnej części piarżysta, w górnej części stromą i kruchą, rynną. Idziemy dalej jej w prawo odgałęziającem się ramieniem, które wprost wyprowadza na Terjańską Przełęcz Wyżnią. (Od Wielkiego Ogrodu 1½ godz.). (M. i M. Scheinowie, 10. X. 1920)».

Wzmianka o zejściu braci Scheinów z Terjańskiej Przełęczy Wyżniej znajduje się również w «Taterniku» [2]). Tymczasem dnia 28 sierpnia 1929 r. dokonali Z. Roszkówna i S. K. Zaremba wejścia z Wielkiego Ogrodu na tę samą przełęcz [3]) i skonstruowali następujący opis drogi:

### TERJAŃSKA PRZEŁĘCZ WYŻNIA.

Wejście z Wielkiego Ogrodu.

Nieco na l. od linji spadku przełęczy, bezpośrednio na pr. od olbrzymiej, gładkiej, już zdaleka wpadającej w oczy płyty, spada, z połowy mniej więcej wysokości ściany, aż do piargów — stromy, skalisty żleb, oddzielony od wspomnianej płyty w dolnej części inną płytą, tworzącą z nią prostą i gładką krawędź, wyżej zaś — rodzajem wystającej grzędy. Droga wiedzie najpierw omówionym żlebem w całej jego rozciągłości.

---

[1]) R. Kordys: «Taternictwo wczoraj, dziś i jutro», «Taternik», Rocznik XIII, str. 54.

[2]) Rocznik IX (1915—1921), str. 21.

[3]) «Taternik», rocznik XIV, zesz. 1., str. 15.

Dolne urwisko — gdzie żleb przybiera charakter głęboko wciętego komina — pokonywa się dnem, średnio-trudno, zapieraniem. Po jednej długości liny — stajemy wówczas na poziomie niewidocznego stąd, dolnego końca wspomnianej na początku, olbrzymiej płyty — żleb staje się na przestrzeni kilkudziesięciu metrów stosunkowo połogi i łatwy. Niebawem jednak spiętrza się stromiej, przechodząc w rodzaj zacięcia, ograniczonego z l. strony gładką płytą, z pr. strony zaś — kruchemi, przewieszonemi skałami. Po pokonaniu — z pomocą żywej drabiny — wybitniejszej przewieszki (b. trudno; pod nią, przy haku, dobre miejsce do stania dla 1 osoby; do tego miejsca można dotrzeć także, wspinając się równoległą rynną parę m na pr., po b. kruchej skale, następnie zaś trawersując poziomo w l.) oddalamy się stopniowo w l. — po mniej już gładkiej płycie — od dna zacięcia, osiągając towarzyszącą mu z tej strony, omówioną na początku grzędę (od haka 1 długość liny; dogodna platforma). Stąd znowu do zacięcia, którem, zapierając się, posuwamy się niezbyt długo, aby — przed większą przewieszką — przetrawersować znowu skośnie w l. na grzędę (mała platforma, widok na omówioną na początku, olbrzymią płytę z l. strony). Ostrzem grzędy ok. 8 m wprost do góry. Tam gdzie się ona stromiej spiętrza (ok. 2 m nad hakiem; dogodny blok do autoasekuracji) poziomy trawers w poprzek b. stromej ścianki do zacięcia, którem tylko parę kroków do góry i — po bardziej połupanej skale — znowu skośnie w l. na grzędę, ponad jej uskokiem. Nią jeszcze ok. 10 m do siodełka pod pasem przeważnie przewieszonych ścianek, gdzie tak ona, jak i żleb (zacięcie) się kończą. Stąd parę kroków w l. na platformę, znajdującą się bezpośrednio ponad górnym krańcem wzmiankowanej już kilkakrotnie, olbrzymiej płyty.

Nad platformą wprost do góry ciągnie się głęboko wcięty komin. Dolny jego uskok przezwycięża się bądźto b. ciasnem pęknięciem do zapierania z pr. strony, bądźto wybrzuszoną, ubogą w chwyty ścianką (łatwiej, lecz ryzykowniej). Dalej ok. 50 m — naogół średnio-trudno, przeważnie zapierając się, pod koniec znowu nieco stromiej — kominkiem (liczne zaklinowane bloki), aż do jego końca. Stąd 2 długości liny skośnie w l. ciągnącym się, skalistym, dogodnie połupanym, lecz w jednem miejscu płytową rynną przerwanym, zachodem, poczem, przezwyciężywszy niewysoką ściankę, skośnie w pr., po płytach, do piarżystego kotła (tu mamy wszystkie trudności za sobą). Z kotła kilkadziesiąt m skośnie w pr. biegnącą, skalisto-piarżystą rynną z paroma wklinowanymi blokami, aż do siodełka w grzędzie, spadającej z 1. turni Grani Hrubego, w którem powyższa rynna się kończy. Stąd, skośnie w pr. ku górze ciągnącą się, piarżystą półką — ostatnich kilka kroków nieco stromiej — wprost na przełęcz (od wejścia w skały 3 godz.). D r o g a b. t r u d n a i p i ę k n a.

Sprzeczność jest tak rażąca, iż nie ulega wątpliwości, że zamieszczony w Przewodniku Komarnickiego opis n i e odnosi się do wejścia na Terjańską Przełęcz Wyżnią. Prawdopodobnie jednak Scheinowie istotnie schodzili do Wielkiego Ogrodu, ale nie z Terjańskiej Przełęczy Wyżniej, lecz z innego wcięcia w Grani Hrubego, mianowicie z którejś z przełączek, położonych między Terjańską Przełęczą Wyżnią a Terjańską Turnią. Punkt kulminacyjny wspomnianej w ich opisie zatoki piarżystej, leży bowiem wyraźnie na pr. (zach.) od linji spadku Terjańskiej Przełęczy Wyżniej, a że w opisie jest jeszcze mowa o odgałęzieniu prawem rynny, jest rzeczą pewną, iż, próbując iść ich opisem, natrafiłoby się na Grań Hrubego w punkcie dość silnie na zach. od Terjańskiej Przełęczy Wyżniej położonym. Hypoteza nasza jest tembardziej prawdopodobna, że istotnie z pr. kąta Wielkiego Ogrodu wznoszą

się ku górze żleby, mogące zapewne wyprowadzić na grań. Wdzięcznem zadaniem dla polskich taterników byłoby sprawdzenie wypowiedzianego przez nas przypuszczenia i ewentualne zidentyfikowanie w terenie drogi Scheinów.

K. R.

# WYPADEK W DOLINIE ŻABICH STAWÓW BIAŁCZAŃSKICH

W Wielkim Tygodniu tegorocznym zdarzył się w górach wypadek, który pochłonął życie jednego z młodych, dzielnych taterników. Przebieg wypadku opisali pozostałi przy życiu uczestnicy tragicznej wycieczki w następującym protokole, doręczonym J. Oppenheimowi, jako przedstawicielowi władz Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego.

PROTOKÓŁ

Dnia 14 kwietnia 1930 roku niżej podpisani i ś. p. Zbigniew Gieysztor wyszli ze schroniska w Roztoce celem dokonania wyjścia na Żabi Szczyt Wyżni. Wyprawa była obliczona na jeden dzień i na taki czas byliśmy zaprowiantowani. Rano dość dobra pogoda zmieniła się w huragan, około godziny 2 czy 3 popołudniu. Już w czasie burzy schodziliśmy ze szczytu Żabiego Szczytu Wyżniego granią na Przełęcz pod Młynarzem. Zjazd na zlodowaciałych linach z uskoku grani zajął nam tak dużo czasu, że obawiając się nocy, poczęliśmy schodzić wprost ku dolinie Żabich Stawów Białczańskich. Urwisko, ponad które zeszliśmy i noc zmusiły nas do pozostania i biwakowania w śniegu. Siedzieliśmy od godziny 7 min. 40 wieczorem do 4 min. 30 rano. Głód, przemarznięcie (siedzieliśmy zupełnie przemoczeni), zmęczenie i odmrożenie nóg wyczerpały nas tak dalece, że dokończenie grani (normalnie około 1 godziny) zajęło nam czas aż do 1-szej popołudniu. O tej godzinie zeszliśmy do żlebu z Przełęczy pod Młynarzem. Tu rozwiązaliśmy się i już każdy na własną rękę ratował gasnące z wyczerpania zupełnego życie. A. Kenar i W. Stanisławski pierwsi dowlekli się do Roztoki o godzinie 3-ciej popołudniu. W pół godziny później przybył S. Bernadzikiewicz. Koło godziny 5-tej pp. zaniepokojeni o ś. p. Zbigniewa Gieysztora, który szedł na końcu i który powiedział, że sobie powoli będzie schodził (po owym noclegu ś. p. Gieysztor czuł się najlepiej z nas czterech), prosiliśmy Andrzeja Krzeptowskiego, żeby wyszedł na spotkanie ś. p. Gieysztora. Wziąwszy herbaty w manierkę, udał się on z M. Budzówną do Dol. Żabich Stawów Białczańskich, gdzie znalazł nad potokiem, tuż poniżej Żabiego Stawu Białczańskiego Niżniego, już martwego ś. p. Gieysztora. Zmarł zapewne z wyczerpania, pijąc wodę z potoku.

Roztoka, dnia 16 kwietnia 1930 r. (następują podpisy z adresami W. Stanisławskiego, S. Bernadzikiewicza i A. Kenara).

* * *

Powróciwszy do Roztoki, A. Krzeptowski zawiadomił natychmiast T. O. P. R., które wyruszyło na drugi dzień rano pod kierownictwem J. Oppenheima i tegoż dnia zniosło zwłoki aż do granicy państwa naprzeciwko schroniska w Roztoce, gdzie zatrzymała je, dla dopełnienia niezbędnych formalności, czechosłowacka straż graniczna. Pogrzeb odbył się w Zakopanem, dnia 19-go kwietnia, przy gremjalnym udziale przebywających tam wówczas taterników.

* * *

† ZBIGNIEW GIEYSZTOR, słuchacz politechniki w Warszawie, w chwili śmierci liczył lat 28. Tatry poznał on dopiero w r. 1928, rozpoczął zaś właściwą działalność taternicką dopiero ostatniego lata. Zaczynając chodzić na drogi skalne, nie znał z taterników nikogo; chodząc samotnie, zdołał do tego stopnia w ciągu niespełna dwóch miesięcy opanować technikę skalną, iż nie wahał się np. trawersować Żabiego Konia. Następnie — z towarzyszami już — powtarza takie przejścia pierwszorzędne, jak: pd. ściana Zamarłej Turni, Kozia Przełęcz Wyżnia obu żlebami, pn. ściana Mnicha, pn. ściana Jaworowego Szczytu i t. d., oraz bierze udział w rozwiązaniu kilku problemów, z których najpiękniejszym: zdobycie pn. ściany Wołowej Turni. W zimie, wyprawa, którą podjął w przeddzień zgonu, była jego wyprawą pierwszą. Zginął człowiek cichy i skromny, taternik z czynu i serca.

* * *

Trzeba przyznać, iż na pierwszy rzut oka, tak silnie w zamieszczonym na początku protokole podkreślane wyczerpanie uczestników owej fatalnej wyprawy niezupełnie jest zrozumiałe. Ostatecznie, biwakowano zimą w Tatrach niekiedy w warunkach znacznie groźniejszych i zawsze dotychczas z wynikiem zadowalającym. Jeżeli jednak dokładnie wnikniemy w okoliczności, o których jest mowa, dojdziemy do wniosku, iż wyczerpanie uczestników wyprawy musiało i mogło mieć w rzeczywistości tło przedewszystkiem nerwowe. Ludzie prawdziwie wyczerpani fizycznie nie byliby chyba w stanie zejść w dwie godziny z Przełęczy pod Młynarzem do schroniska w Roztoce; czas ten jest bowiem zupełnie dobry. Nie ulega zatem żadnej wątpliwości, iż czterej taternicy, zaskoczeni na grani przez niepogodę i zmuszeni do biwaku w warunkach, które dla nich były nowością, załamali się psychicznie pod działaniem zimowej grozy Tatr. Tem tylko można wytłómaczyć, po raz pierwszy bodaj w dziejach taternictwa zdarzające się, popadnięcie uczestników wycieczki w rozsypkę (na Przełęczy pod Młynarzem). Tem tylko można również wytłumaczyć tak późne zatroszczenie się o los pozostawionego towarzysza.

Jakkolwiek więc warunki, w których odbyła się wycieczka, o b j e k t y w n i e nie zawierały w sobie zadatków katastrofy, to jednak przedstawiały się one niekorzystnie a były rezultatem pewnych błędów. Wspólnem zaś ich źródłem było lekceważące — oparte na letniej ocenie trudności drogi — traktowanie całej wyprawy jako «treningu» i to przez grono osób, z których tylko dwie przedtem zwiedzały Tatry zimą. Powszechnie wiadomo, iż letnie trudności drogi nie mogą bynajmniej być miarodajne dla zimy, iż trudności zimowe przewyższają je naogół znacznie, iż wreszcie największa nawet umiejętność wspinania się latem nie może zastąpić doświadczenia ani treningu zimowego.

Na tle właśnie nieuzasadnionego lekceważenia całej wyprawy, powstały takie błędy w jej planie, jak: 1) Wyruszenie z Roztoki po godz. 7-mej, a zatem o 2—3 godziny zapóźno (Wczesny wymarsz zaleca się w zimie nietylko w celu zapewnienia sobie powrotu za dnia, lecz również dla wyzyskania twardszego w rannych godzinach śniegu); 2) niezabranie ze sobą ani kuchenek spirytusowych, ani latarek. To ostatnie jest — ze względu na zawsze w zimie możliwe niespodzianki — ostrożnością, która n i g d y nie powinna być zaniedbaną.

W przeprowadzeniu wycieczki uderza również niecelowa próba schodzenia z grani wprost do Stawów, a zatem wybranie drogi, trudniejszej jeszcze, niż grań. Urządzenie biwaku także podlega krytyce. Uderza zwłaszcza

niezdjęcie butów, co spowodowało u wszystkich uczestników wyprawy dotkliwe odmrożenia nóg. To wszystko razem przygotowało właśnie grunt dla, omówionej na początku, ciężkiej depresji psychicznej wszystkich czterech taterników, na tle której dopiero zdarzyć się mógł śmiertelny wypadek.

Katastrofa ś. p. Z Gieysztora jest poważnem *memento* dla wszystkich tych, licznych już dzisiaj, taterników, którzy przystępują do zwiedzania gór w zimie, nie zdając sobie sprawy z licznych, a z lata nieznanych im niebezpieczeństw i nie będąc należycie przygotowani do obrony przed niemi.

REDAKCJA

# SKALNE DROGI

KOZIA PRZEŁĘCZ WYŻNIA. I. wyjście wprost z Koziej Dolinki. Podpisani z M. Kowalskim i S. Motyką, 20 lipca 1929 r.

Żlebem, spadającym z Koziej Przełęczy Wyżniej, zwykle w dolnej części zaśnieżonym, w górę. Nie dochodząc do jego pierwszej, ogromnej przewieszki — w pr., stromą, popękaną załupą na występ, z którego w l., w górę, w kierunku wielkiej, gładkiej, prawie pionowej płyty. Po minięciu, z pr. strony, sterczącego bloku[1]), jeszcze bardziej w l. i trawers łukiem w l. na występ nad żlebem. Kilka m poniżej, w kierunku żlebu, jest drugi występ skalny. Z wyższego występu w dół, nie wprost na niższy występ, lecz w l. (patrząc w stronę żlebu), równolegle doń, parę m po gzymsach, poczem z odchyleniem w pr. jeszcze parę m stromą rysą (nie do jej końca), a po okroczeniu w pr. krawędzi — poziomy trawers pionową ścianką na ów niższy występ (można na niego zejść wprost z wyższego występu, ale z pomocą liny). Z niższego występu (hak) wdół, w kierunku żlebu, częściowo przewieszoną rysą, pod koniec z pomocą liny, i w pr., na półeczkę pod przewieszonemi skałami, sprowadzającą na dno żlebu. Kilka m wyżej zaczyna się b. strome i niezwykle kruche żebro, przedzielające żleb. Żlebem do żebra, którem kilkanaście m, poczem nieco z pr. strony już zatracającego się tu żebra przez nadzwyczaj kruchą ściankę z pomocą haka [2]) w pionowej szczelinie (spływająca woda) i jeszcze kilka m z odchyleniem w l., do stóp gładkiego zacięcia (dobre stanowisko; od półeczki ok. 30 m). Zacięciem (skąpa w chwyty, ale lita skała) tylko parę m, poczem przez jego krawędź w pr. i trawers z powrotem do żlebu [3]). Największe trudności są teraz za nami. Zlebem, stromym i wąskim, z zaklinowanemi i luźnemi blokami, częściowo zapieraniem, ok. 40 m (w jednem miejscu żleb przechodzi w ciasną szczelinę), wkońcu przez b. trudną przewieszkę z zaklinowanych bloków, na łatwiejszy teren, położony na l. od ogromnych płyt na ścianie Kozich Czub, gdzie żleb chwilowo się zatraca. Dalej drogą Nr. 85 Przew. J. Ch. i M. Ś. na przełęcz. Droga nadzwyczaj trudna i z powodu niezwykłej

[1]) Z występu można też trawersować w pr., aż do miejsca, gdzie skały schodzą się z pn.-wsch. ścianą Kozich Czub, poczem, tuż poniżej tej ostatniej, wprost wgórę rysą i wkońcu parę m w l., osiągając drogę pierwszych zdobywców już za owym sterczącym blokiem. Warjant trudny, lecz ułatwiający tę część drogi; S. Bernadzikiewicz i W. Stanisławski podczas II wyjścia, dokonanego przez nich i Z. Gieysztora, 2 września 1929 r.

[2]) Można też bez pomocy haka; W. Stanisławski, 2 września 1929 r.

[3]) Do tego miejsca można dojść z ominięciem zacięcia: po przejściu żebra i ścianki (z hakiem), dalej wprost wgórę samym żlebem, częściowo zapieraniem. Warjant b. trudny, znacznie ułatwiający tę część drogi; B. Czech, J. Ustupski i J. Wójcik podczas III wyjścia, dokonanego przez nich i J. Gnojka, 15 września 1929 r.

kruchości skały niebezpieczna (brak naogół dobrych miejsc do wbicia haków asekuracyjnych i zjazdowych).

W. Paryski J. Sawicki

WIELKA BUCZYNOWA TURNIA. I. wyjście pn.-zach. żlebem. Podpisani, dnia 17 lipca 1929 r.

Żlebem, spadającym wprost ku pn. z Przełęczy Nowickiego — wgórę, nieco trudno, póki w l. nie odgałęzi się stromy i urwisty, zazwyczaj — przynajmniej częściowo — śniegiem wypełniony, pn. ścianę Wielkiej Buczynowej Turni w dwie kondygnacje rozdzielający żleb. Teraz cały czas dnem żlebu, najpierw przez śnieg, później zaś przez główne spiętrzenie żlebu, tworzące trzy, częściowo przewieszone progi. Pokonanie dolnej, największej przewieszki jest b. trudne — środkowej trudne — górnej dość trudne. Powyżej żleb traci na nachyleniu, kilkokrotnie jednak — w linji spadku wpadających w oczy białych wyrw — napotykamy w nim jeszcze miejsca dość trudne. Żleb wywodzi ($1^3/_4$ godz.) na małe siodełko w wybitnej, pn.-wsch. grzędzie Wielkiej Buczynowej Turni, z którego wpr., ostrzem grzędy, w 10 min nieco trudnej wspinaczki, na wierzchołek. Droga, rozwiązująca w całkiem logiczny i właściwy sposób problem wyjścia na Wielką Buczynową Turnię wprost z Doliny Pańszczycy, i mająca znaczenie w zimie, lecz wymagająca znajomości techniki chodzenia po śniegu i z powodu spadających kamieni dość niebezpieczna.

A. Szczepański J. A. Szczepański

TERJAŃSKA PRZEŁĘCZ WYŻNIA. Wyjście od Wielkiego Ogrodu. Patrz str. 32.

RUMANOWY SZCZYT. I. wyjście wsch. żebrem. Podpisani, dnia 2 sierpnia 1929 r.

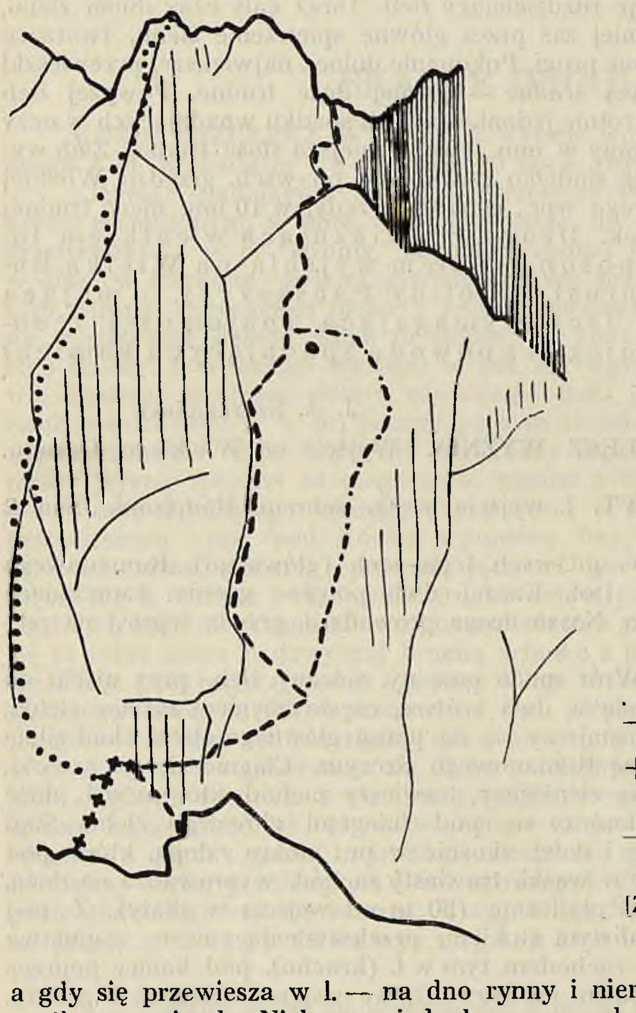
Z dwu wierzchołków, pd.-wsch. i pn.-zach. (głównego), Rumanowego Szczytu spadają w stronę Dol. Kaczej dwie potężne grzędy, zamykające między sobą rodzaj koryta. Nasza droga prowadzi l. grzędą wprost na pd.-wsch. wierzchołek.

Z Zach. Żelaznych Wrót spada potężny, śnieżny żleb, przy ujściu do Dol. Kaczej rozwidlający się w dwa krótsze, często śniegiem zasłane żlebki. L. z owych żlebków wydostajemy się na piargi głównego żlebu, skąd silnie w pr. pod pn.-wsch. ścianę Rumanowego Szczytu. Ciągnie się tu szeroki, ku górze coraz bardziej się zwężający, trawiasty zachód, którym w l., dość długo, do miejsca, gdzie kończy się pod śniegami głównego żlebu. Stąd w pr. (kopczyk) na ścianę i dalej, skośnie w pr., mokrą załupą, która, pod koniec przekształcając się w wąski, trawiasty zachód, wyprowadza na dużą, pochyłą, płytowo-trawiastą platformę (30 m od wejścia w skały). Z niej skośnie w l., trawiasto-skalistym stokiem, przekształcającym się stopniowo w nowy zachód (35 m) i zachodem tym w l. (krucho), pod koniec poprzez dość trudną ściankę, po 35 m. na krawędź, we wstępie opisanej, l. grzędy.

Jest ona tu b. szeroka i tworzy ścianę, w górnej części której wyodrębnia się potężny komin. Tam się kierujemy. Początkowo 40 m przez wielkie bloki i dalej, wciąż w pobliżu l. obrywu grzędy, rysami (trudno) aż do przewieszki ok. 3 m wysokiej, znajdującej się właśnie na samej l. krawędzi grzędy, tuż nad jej obrywem ku depresji między Żłobistym a Rumanowym Szczytem. Przez przewieszkę (nadzwyczaj trudno) i gzymsem parę m. w pr., na dno wyżej wspomnianego, potężnego komina. Dalej pr. ścianką komina (który jest nad nami przewieszony a pod nami podcięty) 8 m z odchyleniem w pr., aż na otwartą ścianę i nią — w zupełnej ekspozycji — kilka m wprost

w górę, b. trudno. Gdy już dalsze posuwanie się wprost staje się niemożliwe, 4 m poziomo w pr., w zupełnej ekspozycji — b. trudno — na duży, trawiasty taras. Stąd, po pr. stronie wybitnej tu już krawędzi grzędy, trawiastą półką, kominkiem do zapierania i krótką, trawiastą ścianką na łukowato wgięty taras pod wielkim uskokiem grzędy (40 m).

Po pr. stronie uskoku, skośnie do góry poprzez luźne bloki układające się w rodzaj półki, po 8 m na platformę. Bierze tu początek wprost wgórę biegnąca, częściowo przewieszona rynna. Pr. jej ścianką pionowo w górę



Rumanowy Szczyt z Doliny Kaczej.
. . . . . . droga wsch. żebrem
— — — droga zwyczajna («Taternik» z 1929 r., str. 17—19).
+ + + warjant u wejścia w ścianę («Taternik» z 1929 r. str. 17, przypisek).
— · — · — · warjant na pn.-wsch. żebrze («Taternik» z 1929 r., str. 18, przypisek 4).
[Znakiem ○ oznaczoną została kazalnica około 2090 m].

a gdy się przewiesza w l. — na dno rynny i niem dalej, pokonując na początku przewieszkę. Niebawem jednak rynna przekształca się w kominek, który nieco wyżej kończy się nagle w pionowych, gładkich płytach. O 1 m. przed jego końcem, w l., okraczając b. trudno gładkie żeberko, na trawiastą platformę. Stąd 8-metrowym kominkiem wgórę przez dwa niewielkie prożki, poczem zaraz przez ścianę kominka do nyży o piarżystem dnie. Stąd przez ogromne bloki, skośnie w l. po 10 m na krawędź małego żeberka i nią po kilku m na trawniczek pod nowym, wielkim uskokiem grzędy.

Uskok ten obchodzimy w l. kominkiem, ciągnącym się zaraz za krawędzią grzędy (trudno; można ten kominek ominąć w l. łatwiej) na łatwy, trawiasto-

skalisty teren i nim 35 m skośnie w l. na krawędź grzędy. Krawędzią (lub po jej l. stronie) 50 m łatwo. Dalszych 90 m przezwyciężamy, aż pod nowy uskok, samą, częściowo dość trudną i interesującą, krawędzią. Ścianką uskoku trudno 12 m. wgórę, na trawniczek, skąd przez 5 metrową, b. trudną ściankę, na dużą platformę, utworzoną z wielkiej płyty, okolonej spodem przez trawnik. Grzęda tworzy nad nią nowy uskok. Z pr. brzegu platformy wprost wgórę ścianką uskoku pod przewieszkę, poczem 3—4 m poziomo w l. po płycie (świetne chwyty, natomiast stopni brak zupełnie) na stopień (nad nami nyża, uderzająco podobna do nyży w pn. ścianie Mnicha) i z niego, skośnie w pr., przez dwie ścianki, do odstającego bloku. Z jego pomocą w górę, trudno, na brzeg płyty i przez nią skośnie w l., pod przewieszoną ściankę jedynej w grzędzie turniczki. (Na jej wierzchołek możemy się wydostać z poza l. węgła wyżej wspomnianej, przewieszonej ścianki, dość trudno i w ekspozycji, lub też od pr. strony). Z pod wspomnianej przewieszonej ścianki turniczki w pr. i, stopniowo się obniżając, dość trudno, na przełączkę poza turniczką (niezmiernie dzikie i wspaniałe otoczenie skalne).

Stoimy teraz pod ogromnym, szczególnie z wierzchołka turniczki niedostępnie wyglądającym, uskokiem szczytowym pd.-wsch. wierzchołka. Z przełączki po l. stronie uskoku 25 m z odchyleniem w pr., do trawiastej płaśni, z której wprost wgórę najpierw rysami (trudno) potem kominem (50 m) od miejsca gdzie skały nad nami tworzą ogromne, gładkie przewieszki, a w pr. biegnie wielka, stroma, pofałdowana płyta. Stąd w l., przez pionową, białym trójkątem naznaczoną, ściankę (b. trudno) i dalej, poza krawędź grzędy, na ścianę, zwróconą ku Żłobistemu Szczytowi (pd.-wsch.) i nią, w niezwykle pięknym terenie, 30 m skośnie w l. (miejscami trudno), aż do przystawionego do ściany graniastosłupa skalnego, skąd wprost w górę krótką rysą i przez przerwę w niej (trudno) do dalszej, kominkowatej części rysy, którą b. trudno na taras tuż pod szczytem. Stąd w kilka chwil łatwo wprost na wierzchołek pd.-wsch. Rumanowego Szczytu (ok. 10 g. od wejścia w skały).

Droga skrajnie trudna i niezwykle eksponowana, należąca do najtrudniejszych i najwspanialszych dróg tatrzańskich.

B. Chwaściński W. Stanisławski J. Wojsznis

PONAD KOCIOŁ TURNIA. I. wyjście pn.-wsch. granią. Podpisani z M. Skotnicówną i K. Kupczykiem, dnia 31 sierpnia 1929 r.

Z nad Długiego Stawu w Dolinie Wielickiej do Żlebu Karczmarza i nim ok. 40 m wgórę, do skalisto-piarżystych stopni w skałach na l. od niego ($^1/_2$ godz.). Stopniami temu do górnej z dwu piarżystych półek, wiodących ku b. wybitnej i całkiem samodzielnej, ok. 900 m długości liczącej, pn.-wsch. grani Ponad Kocioł Turni, zamykającej Żleb Karczmarza od pd.-wsch. — bezpośrednio ponad niedostępną dolną część jej dolnego uskoku. Półką poziomo w l. (można iść również dolną, ku górze wznoszącą się półką, jest to jednak mniej korzystne) na ostrze, urwistej tu na całej przestrzeni, grani. Ze stopnia na jej krawędzi 2 m w l. i 2 m wgórę, poczem — trudno — trawersem wskos w pr. wgórę na wątłą półeczkę do stanowiska asekuracyjnego. Półeczką dalej w pr., prawie do jej końca, poczem otwartą ścianką 5 m wprost wgórę — nadzwyczaj trudno — do depresji ponad nią, i depresją 20 m — trudno — na grań, którą — trudno i w ekspozycji — pod następny jej uskok. Przewieszonym kominem z pr. strony uskoku na stopień popod granią, poczem z pr. strony grani, łatwo, na najbliższą turnię. Zejście na przełączkę za nią przez przewieszkę — poczem przez mały ząb do siodełka pod następnym, większym zębem, na który (dość trudno) pr.

rysą. Teraz jakiś czas poziomą granią pod wielką z tej strony turnię. Po płytach w pr. do komina, zamkniętego u góry przewieszką z zaklinowanym blokiem (okno w grani). Najpierw dnem komina a później tępą krawędzią na l. od przewieszki (b. trudno) na ostrze grani przed blokiem. Poprzez blok albo z l., albo z pr. strony (trudno) do początku występującej tu półki trawiastej i nią popod ścianę kilka m ku górze — z l. strony grani — pod mało wyodrębniającą się, stromą rysę. Z początku z jej pomocą, później poza krawędź w pr. na otwartą ścianę, poczem zpowrotem na krawędź (dobry stopień po jej l. stronie). Ze stopnia wprost wgórę ok. 8 m na wierzchołek turni (przed wierzchołkiem kopczyk; cały ten, od opisanej wyżej półki trawiastej, 30 m długi, fragment drogi, jest częściowo nadzwyczaj trudny; można go jednak obejść, wyzyskując wspomnianą półkę trawiastą w jej całej długości. Półka ta doprowadza, bez wspinaczki, do przełączki poza turnią). Z wierzchołka turni przez kilka zuchwałych koni skalnych (na ostatnim trudne okroczenie) na przełączkę poza turnią, skąd albo wprost wgórę ostrzem grani pod charakterystyczny graniastosłup, skąd w l. poziomą listwą skalną do szerokiej, tutaj już łatwej rynny (sposób dość trudny), albo, obniżywszy się wpierw z wspomnianej przełączki parę m w l., rynną w całej jej długości (sposób trudny). Powyżej rozpłaszczającą się granią, po wielkich blokach, ku końcowi dość trudno, na następną turnię, i zaraz na szerokie, piarżyste siodło poza nią (kopczyk; 3 godz.). Z siodła tego, w obie strony wiodą szerokie, piarżyste zachody. Zstępując pr. z nich, możnaby, zapewne bez większych trudności, osiągnąć Żleb Karczmarza — l. sprowadziłby do wielkiej depresji, którą do Przełączki nad Kotłem, wiedzie zwyczajna perć z Doliny Wielickiej na Gierlach. Powyżej siodła grań wybitnie się ułatwia, a skała z litej staje się kruchą i zrujnowaną. Z siodła, półką, zawaloną blokami, w l., pod niewielki kominek w bocznej krawędzi. Kominkiem (parę m) poza krawędź, poczem skalisto-trawiastą granią w pr. na najbliższą turnię, z której, trudno, poprzez przewieszkę, gładką płytę i mało stromego konia na wąskie wcięcie za nią (turnię tę można, b. łatwo, obejść z l. strony). Z wcięcia, obchodząc z l. strony kilka mniej interesujących zębów (można je również, dość trudno, przejść na ostrzu grani), do rynny przed następną wybitniejszą turnią. Nie dochodząc nią do wcięcia grani, w l. przez trudną przewieszkę na krawędź, i nią poprzez szereg zębów bądź na ich ostrzu (chwilami trudno) bądź obejściem z l. strony, aż do ostatniego już, uskoku grani, charakteryzującego się prostokątną, białą wyrwą. Tu w pr. poziomą półką na pr. krawędź i nią wprost na platformę z luźnymi blokami, skąd przez nadzwyczaj zrujnowane skały, na końcu pionową, trudną ścianką wprost na środkowy z trzech wierzchołków Ponad Kocioł Turni (1 godz.). Droga stwarzająca długą (od ścieżki w Dolinie Wielickiej $4^1/_2$—$5^1/_2$ godz.) i poważną wyprawę i należąca do piękniejszych graniowych przejść tatrzańskich.

J. K. Dorawski A. Szczepański J. A. Szczepański

JAWOROWY SZCZYT. Warjant w dolnych partjach pn. ściany. Podpisani z Z. Gieysztorem, dnia 27 sierpnia 1929 r.

Pn. ścianę Jaworowego Szczytu żłobi głęboki żleb, spadający z przełączki między obu wierzchołkami. Droga Nr. 876 Przew. J. Ch. i M. Š. wiedzie, w środkowej części, b. stromem i urwistem żebrem skalnem, ograniczającem żleb od pr. strony i wychodzi na powyższe żebro o 150 m ponad piargiem, trawersem od żlebu, spadającego z Rożdziela. Warjant prostuje drogę pierwszych zdobywców, prowadząc wyżej opisanem żebrem od samego dołu.

Wstęp na skały u wylotu wspomnianego żlebu, na l. ścianę charakterystycznej, białej ostrogi skalnej, występującej z jego środka. Po przekroczeniu ostrogi i żlebu, skośnie w pr. podnoszącą się, trawiasto-skalistą, boczną rynną, aż do jej końca, na siodełko w grzędzie, poczem wgórę, pod spiętrzające się skały, żebra. Stąd (kopczyk) w l., głębokim i stromym, 10-metrowym kominkiem, poczem w l., 3 m półką, zawaloną luźnemi blokami, do rynny. Nią — coraz łatwiej — 30 m wprost wgórę, następnie trawers w l. na grzędę i nią z kolei 20 m poprzez trawiasto-skaliste stopnie do jej spiętrzenia, ponad które bądź środkiem, przy pomocy krótkiej, trudnej rysy, bądź też, łatwiej, obejściem po pr. stronie i na łatwy teren, gdzie łączymy się z drogą pierwszych zdobywców (kopczyk).

Warjant nieco trudny, wiodący niemiłym, kruchym, trawą przetykanym terenem, jednak, ze względu na znaczne wyprostowanie drogi, nie pozbawiony praktycznego znaczenia.

S. Bernadzikiewicz S. Wróbel

# ITINERARIA

**I. w. zim. na Przełączkę pod Żółtą Ścianą od pn. — I. w. zim. na Żółtą Ścianę. — I. w. zim. na Pośrednią Przełęcz od Przełączki pod Żółtą Ścianą. — II. w. zim. na Żółty Szczyt. — Zejście z Pośredniej Przełęczy do Doliny Staroleśnej.**

Podpisany z K. Henschówną i E. Ivanko, dnia 13 kwietnia 1930 r. — Schronisko im. Tery'ego 7h 30', u wejścia w żleb 8h 00'. Przełączka pod Żółtą Ścianą 8h 20'. Żółta Ściana 8h 25'—8h 35'. Przełączka pod Żółtą Ścianą 8h 40'. Pośrednia Przełęcz 12h 05', Żółty Szczyt 12h 40' — 16h 20', Pośrednia Przełęcz 17h 15', Dol. Staroleśna 18h 05'—18h 20', Hotel pod Kozicą 19h 15'—20h 20', Schronisko im. Tery'ego 24h 00'.

Późny wymarsz, spowodowany minimalnem podejściem i specyficznemi warunkami śnieżnemi, o czem niżej. Pogoda aż do godzin popołudniowych piękna i słoneczna, w cieniu lekki mróz. Wejście żlebem na przełączkę i granią pod sam wierzchołek Żółtej Ściany — po twardym śniegu. Grań, prowadząca do masywu Pośredniej Grani, również silnie ośnieżona; największe trudności sprawia w niej, olodzony i ośnieżony, uskok w kształcie ścianki. Wielki zachód, przecinający pn. ścianę Pośredniej Grani, przebyty — w cieniu — po śniegu jeszcze twardym, przy huku lawin, spadających ze wszystkich miejsc nasłonecznionych. Długi pobyt na Żółtym Szczycie — uwarunkowany koniecznością przeczekania, aż śnieg, w całości zalegający żleb, spadający z Pośredniej Przełęczy do Dol. Staroleśnej [1]), silnie nagrzany w południe, zacznie nanowo zamarzać; chmury, nadciągające ławą z zach., skracają oczekiwanie i przynoszą wieczorem burzę nad równiną z niezwykle gwałtowną dujawicą w górach.

S. K. Zaremba

# SPRAWY SEKCJI

**Posiedzenie Zarządu z dnia 6 czerwca 1930 r.**

Obecni: dr. S. Komornicki, prof. J. Lande, dr. W. Łaba, dr. K. Piotrowski, Z. Roszkówna, J. A. Szczepański i mr. S. K. Zaremba.

Po odczytaniu i przyjęciu protokołu z poprzedniego posiedzenia wysłuchano sprawozdania przewodniczącego z czynności prezydjum. Przyjęto do wiadomości z zadowoleniem, że mr. Zaremba zgodził się pełnić jeszcze przez czas pewien obowiązki redaktora «Taternika». Nowy statut Sekcji, uchwalony przez Nadzw. Og. Zgromadzenie 1 czerwca r. z., został przyjęty bez zmian przez Zarząd Główny P. T. T. i złożony w połowie kwietnia do legalizacji władzom administracyjnym.

Na członka Sekcji przyjęto p. Henryka Mogilnickiego z Warszawy.

Przewodniczący zakomunikował, że z liczby dawnych członków Sekcji nie wpłaciło dotąd zaległych składek 47 osób, a wśród nich wielu członków czynnych

---

[1]) Przy tej sposobności prostujemy wiadomość, podaną w Przew. J. Ch. i M. Ś. (droga Nr. 946), jakoby zejście tym żlebem odbywało się bez żadnych trudności; w rzeczywistości żleb ten posiada cały szereg skalnych progów, których pokonanie wymaga latem wspinaczki nieco trudnej (wiadomość J. A. Szczepańskiego).

i z życiem Sekcji ściśle związanych. W myśl uchwały XX. Og. Zgromadzenia, w którem wiele z tych osób brało udział, osoby te tracą automatycznie prawa członków. Cofając się przed przykrą koniecznością skreślenia całej tej grupy członków ze względu na ich opieszałość w spełnianiu obowiązków pieniężnych wobec Sekcji, Zarząd uchwalił skierować do nich listy zleceniowe, aby umożliwić im w ten sposób raz jeszcze uratowanie praw członkowskich.

### ZAWIADOMIENIE

XXI. OGÓLNE ZGROMADZENIE członków Sekcji turystycznej Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego odbędzie się dnia 15 sierpnia 1930 r. w Zakopanem, w dworcu Tatrzańskim, o godz. 10-tej.

Porządek dzienny:

1. Odczytanie protokołów z XX. Zwyczajnego Ogólnego Zgromadzenia
2. Sprawozdanie Zarządu.
3. Sprawozdanie Komisji Kontrolującej.
4. Preliminarz budżetu.
5. Wybór nowego Zarządu.
6. Wnioski.

W razie braku kompletu następne Ogólne Zgromadzenie odbędzie się tegoż dnia o godzinie 10·45.

Po Ogólnem Zgromadzeniu odbędzie się wycieczka klubowa w okolice Doliny Rohackiej, obliczona na trzy dni. Punkt zborny w Dworcu Tatrzańskim dnia 16 sierpnia o godzinie 8-mej.

Zarząd Sekcji Turystycznej Poł. Tow. Tatrz.: *Dr. Stefan Komornicki*, przewodniczący, *Prof. Jerzy Lande*, sekretarz.

# Z TATR

**Sezon zimowy 1929/30 r.**

W ostatnim sezonie zimowym doszło do głosu najmłodsze pokolenie taternickie, występując odrazu z nader śmiałym programem. Kilkakrotne ataki na lite ściany kończyły się odwrotem po kilkunastu metrach. Być może jednak, iż po tegorocznych doświadczeniach więcej zrozumienia znajdzie fakt, że taternictwo zimowe zupełnie inne ma cele i inne środki, niż taternictwo letnie, że styl wyprawy zimowej polega przedewszystkiem na wyzyskaniu specyficznie zimowych możliwości i że wreszcie zagadnienie trudności technicznych nie gra tak dominującej roli, jak w lecie.

Mimo początkowych niepowodzeń, faktem jest jednak, iż najmłodsi wzięli udział w zimowem zdobywaniu Tatr w rozmiarach dotychczas niewidzianych (26 nowych nazwisk!), odnosząc szereg wybitnych sukcesów, pomiędzy któremi wybija się na pierwszy plan I. w. zim. na Zadni Gierlach z Doliny Kaczej, któremu niebywale korzystne naówczas warunki śnieżne i atmosferyczne nie odbierają bynajmniej prawdziwie wielkiego stylu. Niestety, zapłacono za zdobyte doświadczenie drogi okup w postaci życia śp. Z. Gieysztora, którego tragiczną śmierć omawiamy na innem miejscu.

Ujemnym objawem było w ubiegłym sezonie — podobnie jak w poprzednim — skupienie się całego niemal ruchu turystycznego w Tatrach polskich, a zwłaszcza w okolicy Hali Gąsienicowej. Dość powiedzieć, iż tylko dwóch polskich taterników — obaj samotnicy — obrało za punkt wyjścia schroniska, położone po południowej stronie Tatr. Jako natomiast objaw charakterystyczny i świadczący o prawidłowych drogach rozwojowych taternictwa zimowego, podnieść należy zapoczątkowanie powtórzeń nowych, trudniejszych dróg zimowych.

Warunki w Tatrach — jak to zresztą najczęściej bywa — układały się naprzemian korzystnie i niekorzystnie. Niezmiernie korzystnie się one przedstawiały w styczniu—lutym, jak również z końcem kwietnia. W tym ostatnim okresie nawet tak silnie zwykle zagrożone lawinami miejsca, jak np. pd. stoki Buczynowych Turni, były zupełnie bezpieczne, Natomiast w tych okresach, w których większość turystów dysponowała swobodnym czasem, t. j. w czasie świąt Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy, aura była mocno kapryśna, a śnieg — niepewny.

**Kronika zimowa 1929/30** [1]).

Mały Giewont. I. (?) w. z.: W. Paryski, 7 stycznia.

Kasprowy Wierch. I. w. z. od pn.: Z Roszkówna, W. Ostrowski, W. Paryski, T. Pawłowski i S. K. Zaremba, 19 kwietnia.

Skrajna Przełęcz [2]). I. (?) w. z. od pn.: W. Paryski, J. Sawicki i A. Uznański, 3 stycznia.

Świnica. I. w. z. pn.-zach. ścianą: H. Mogilnicki i W. Orłowski, 9 kwietnia.

Niebieska Przełęcz. III prz. z. drogi od pn.: K. Narkiewicz-Jodko, 11 kwietnia.

Zawratowa Turnia. II prz. z. drogi od pn. przez pn. żleb Niebieskiej Przełęczy [3]): W. Firsoff, S. Luxemburg i W. Paryski, 1 stycznia.

Przełęcz w Kościelcu. II prz. z.: H. Mogilnicki i W. Orłowski, 6 kwietnia.

Kościelec (graniami od Mylnej Przełęczy): M. Mieloch i J. Szaliński, 8 marca.

Granaty. I. (?) w. z. pn. granią: Z. Roszkówna, S. Luxemburg, W. Paryski i T. Pąwłowski 3 kwietnia.

Żółta Przełęcz. I. (?) prz. z.: J. Sawicki i J. Wójcik, 24 kwietnia.

Żółta Turnia. I. (?) w. z. od zach.: Z. Roszkówna, S. Luxemburg i W. Paryski, 5 kwietnia.

Wielka Buczynowa Turnia. I. w. z. pn.-zach. żlebem [4]) i I. z. pd. ścianą: J. Sawicki i J. Wójcik, 24 kwietnia.

Mała Buczynowa Turnia. I. w. z. zach. granią — Przełączka pod Ptakiem [5]) I. (?) z. z. ku pn.: H. Mogilnicki, W. Paryski i T. Pawłowski, 25 kwietnia.

Mała Buczynowa Turnia. I. w. z. od pd. i I. z. pd.-wsch. żlebem: K. Narkiewicz-Jodko i J. A. Szczepański, 20 kwietnia.

Krzyżne. I. w. z. od pd.: W Midowicz, w styczniu.

Walentkowa Przełęcz. I. prz. z. ze wsch. na zach.: J. Wojsznis, 20 kwietnia. — II. w. z. od wsch.: S. Bernadzikiewicz, B. Chwaściński i A. Kenar, 23 kwietnia.

Czarna Ławka. I. w. z. od. pn.-wsch. — Gładki Wierch: B. Chwaściński, 25 kwietnia.

Ciemnosmreczyńska Przełączka [6]). I. w. z. od pn. — Ciemnosmreczyńska Turnia. I. w. z.: W. Stanisławski, 31 grudnia.

Przełęcz Szpara. I. w. z. od pn. — Ramię Krywania [7]). I. w. z. — Krywań. I. w. z. drogą Nr. 214 Przew. J. Ch. i M. S.: W. Krygowski, 21 stycznia.

Hruby Wierch. I. w. z. pd.-zach. ścianą: S. K. Zaremba, 29 grudnia.

Białczańska Przełęcz Wyżnia. I. w. z. od. pn.-wsch. — Żabi Szczyt Wyżni. I. w. z. — Przełęcz pod Młynarzem [8]): S. Bernadzikiewicz, Z. Gieysztor, A Kenar i W. Stanisławski, 14—15 kwietnia.

Przełęcz pod Młynarzem. I. w. z. od pn. — Młynarz. I. w. z. pd.-zach. granią: A. Kenar, T. Pawłowski i W. Stanisławski, 4 stycznia.

Żabi Szczyt Niżni. I. w. z. pn. granią: Andrzej (II) Krzeptowski, 23 grudnia — I. w. z. wprost do Morskiego Oka: A. Kenar, T. Pawłowski i W. Stanisławski, 30 grudnia.

Zadni Gierlach. I. w. z. pn.-zach. ścianą — Przełęcz Tetmajera. II. z. z. ku pd.-zach.: A. Stanecki i W. Stanisławski, 7—8 stycznia.

Przełączka pod Żółtą Ścianą. I. w. z. (od pn.) — Żółta Ściana, I. w. z. — Pośrednią Przełęcz. I. w. z. od Przełączki pod Żółtą Ścianą; II. prz. z. drogi od pd. — Żółty Szczyt. II. w. z.: — K. Henschówna, E. Ivanko i S. K. Zaremba, 13 kwietnia.

---

[1]) Zestawił J. A. Szczepański.

[2]) Nazwę tę wprowadzamy dla przełęczy ok. 2075 m. położonej między Skrajną a Pośrednią Turnią.

[3]) Oba wyjścia powyższe odbyły się sposobem, zanotowanym w «Taterniku» z 1929 r., str. 43, przypisek [1]).

[4]) Zob. «Skalne drogi».

[5]) Nadajemy tę nazwę przełączce między Kopą nad Krzyżnem a Ptakiem, równocześnie wprowadzając dla przełączki między Ptakiem a Małą Buczynową Turnią nazwę: Mała Buczynowa Przełączka.

[6]) Nazwy tej używamy tutaj poraz pierwszy dla przełączki między Ciemnosmreczyńską Turnią a Zadnim Mnichem.

[7]) Nazwę tę przydzielamy zwornikowi pn.-wsch., pn.-zach. i wsch. grani Krywania.

[8]) Do samej przełęczy nie dotarto.

Baranie Rogi. Częściowo nowe z. ku pd.: S. K. Zaremba, 12 kwietnia.

Klimkowa Przełęcz. I. prz. z pn.-wsch. na pd.-zach.: S. K. Zaremba, 11 kwietnia.

Zębata Szczerbina. I. w. od pd.-zach.: S. K. Zaremba, 7 kwietnia.

Pozatem zwiedzono Skrajną Przełęcz (II. i III. w. z.), Świnicę, Kościelec, Przełęcz w Kościelcu (od zach.), Wierch pod Fajki, Granaty (II. traw.), Zmarzłą Przełęcz (od pn.), Kozią Przełęcz (od pd.), łatwe przełęcze jak Zawrat, Wrota Chałubińskiego, Polski Grzebień, Baranią Przełęcz... — pomijając szlaki narciarskie i szereg łatwiej dostępnych wierchów na Spiszu i Liptowie z Krywaniem na czele.

# NOTATKI

**Nowe filmy górskie.** Już trzeci rok przychodzą do nas z Zachodu filmy, mające za temat góry i alpinizm. Po rewelacyjnym dla sztuki filmowej «Monte Santo» Fancka (p. «Przegląd Turystyczny» z czerwca 1927 r., str. 29) i nieudanym kiczu «Walka o Matterhorn» (p. «Taternik» z 1929 r., str. 46) — na wiosnę b. r. ujrzeliśmy z kolei «Białe piekło» (»Der weisse Dämon von Piz Palü»), arcydzieło znakomitego reżysera niemieckiego Gustawa Pabsta. Film ten raz jeszcze pokazał jak potężnym wyrazem sztuki są góry i człowiek górski. Föhn, śnieżyca, słońce i noc górska — a przedewszystkiem lawina i lodowiec — żyją w «Białem piekle» straszliwem życiem. Człowiek przegrywa z nimi walkę. «Pocóż więc walczy?» — pyta widz. A to tylko okres romantyczny, w którym film górski bez reszty tkwi obecnie.

Zdjęcia i pomysły reżyserskie stoją w «Białem piekle» na wyżynach sztuki filmowej. Zmienność i grozę pejzażu górskiego wyzyskano wspaniale. Reżyser odkrył też dla X Muzy całą krainę życia schroniskowego. Główny (z niewielu) zarzut dotyczy scenarjusza. Autor jego, znowu dr Arnold Fanck, narzucił alpinistom, walczącym o górę przedewszystkiem — bierność. Przez większą część filmu rola ich ogranicza się do — oczekiwania pomocy. Jest w tym filmie makabryzm («tylko» 7 trupów) — nawiasem mówiąc, bardzo charakterystyczna i pospolita cecha spojrzenia na góry u ludzi, którzy się o nie tylko otarli (daje się zauważyć i w Polsce, np. w «Narkotyku gór» Rafała Malczewskiego) — oraz niewłaściwa niefrasobliwość w doborze towarzyszów wyprawy. Nie odmówił też sobie dr. Fanck efektu nocnego marszu z pochodniami, efektu, który staje się wręcz nieodłącznym rekwizytem każdego filmu górskiego (podobnie jak i wyprawa ratunkowa). Protagoniści aktorscy sztuki (L. Riefenstahl, G. Diessl i E. Petersen) bez zarzutu. Leni Riefenstahl bardzo odpowiada fizycznemu typowi młodej alpinistki.

...Powodzenie «Monte Santo» i «Białego piekła» zachęca do żerowania na ich wartościach i mnożenia filmów o pokupnym — jak się okazało — temacie. Gdyby ilość nie groziła jakości. moglibyśmy wyrazić tylko zadowolenie z tego faktu. Niestety, wiemy zbyt dobrze co np. powstanie z nakręcanego przez berlińską wytwórnię filmu «Der Bergführer von Zakopane» («Serce Tatr», reż. Gambino, doradca Lejtes). A przecież Tatry mogą być równie błyskotliwą i wzniosłą dekoracją, jak Alpy i ludzie Tatr nie muszą być głupsi od ludzi z Szwajcarji. Że Tatry jako element kinowy «stoją na wysokości zadania» o tem świadczy choćby krótki (350 m) film, wykonany w letnich Tatrach przez K. Narkiewicza-Jodkę i S. Osieckiego. Film musi się ocenić całkiem dodatnio, sceny wspinackie wykonano z precyzją i fachowo. Zasłużone powodzenie skłoniło obu autorów do nakręcenia podobnej wstawki programowej również w zakresie Tatr zimowych. Obrazu tego jeszcze nie widzieliśmy.

Od wielu lat istnieje nowoczesne taternictwo polskie, a do dziś nie mamy jeszcze prawdziwej beletrystyki taternickiej. Obawiamy się, że i na istotny film taternicki długo nam jeszcze przyjdzie czekać. *(jaszcz)*

**Niemieckie wyprawy w Himalaje.** Kańchendzönga [1]) 8580 m, trzeci z kolei szczyt świata (po Czomolungmo 8882 m i Czogo-Ri (K 2, Mt. Godwin Austen) 8619 m, leży na granicy indyjskiej prowincji Sikkim i Nepalu. Podnóże jej można osiągnąć już w siedem dni od ostatniej stacji Dardżiling, a zatem bez porównania szybciej i łatwiej, niż stopy najwyższej góry, które leżą o 6 tygodni podróży od tegoż miejsca wyjścia. Nie musi się przytem starać o rzadko udzielane pozwolenie wejścia na terytorjum Tybetu. Zapewne te okoliczności skłoniły Niemców do wybrania tej właśnie góry za cel swej pierwszej wyprawy himalajskiej w wielkim stylu. Zorga-

[1]) Ani Anglicy, ani Niemcy nie umieją napisać tej nazwy zgodnie z jej właściwem brzmieniem, nie mając w mowach swych odpowiednich dźwięków (ń, dz). Porównując rozmaite pisownie skonstruowaliśmy polską — zapewne najbliższą brzmieniu oryginalnemu. Kań znaczy lód, chen — wielki, dzö — skarbnica, nga — pięć.

nizowano ją — w porównaniu do wypraw Everestowych — niemal naprędce i nieporównanie mniejszym kosztem. Pierwszą myśl rzucono w styczniu 1929 r., a już 25 czerwca t. r. odpływa z Genui dziewięciu alpinistów, członków monachijskiego Akademischer Alpenverein, z dr Eug. Allweinem, dr E. Beigelem, W. Fendtem i K. Krausem na czele, a pod wodzą Pawła Bauera, wszyscy znani z pierwszorzędnych czynów w Alpach, Kaukazie i Pamirze. Że organizacja dużej ekspedycji mogła odbyć się tak sprawnie i szybko jest zasługą najpotężniejszego towarzystwa alpejskiego D. u. Oe. A. V., które — we właściwem zrozumieniu swych zadań — nie wahało się wziąć na siebie większości kosztów, mimo, że wyprawa odbywała się pod egidą innego towarzystwa (wspomnianego wyżej A. A. V. München)! Uderza także ofiarność prywatna różnych miłośników gór, która pokryła koszt ekwipunku 50 tragarzy.

Niemcy, znalazłszy nader serdeczne przyjęcie u władz angielskich w Indjach, stanęli u stóp góry na lodowcu Zemu (4400 m) 16 sierpnia 1929. Po kilku wycieczkach wywiadowczych przeprowadzono decydujące ataki wschodniem żebrem. Natrafiono na niem na trudności olbrzymie. Według oceny niektórych uczestników, dorównywały one trudnościom pn. ściany Dent d'Hérens, uchodzącym za rekord lodowych trudności w Alpach. Toteż dopiero 2 paźdz. założono najwyższy obóz (X-ty) już ponad urwiskiem wsch. żebra na wys. 7100 m, a następnego dnia osiągnięto wysokość 7400 m (dr. Allwein i Kraus). Długotrwała śnieżyca zatrzymała grupę szturmową w obozie X-tym przez 5 dni i zmusiła ją ostatecznie do odwrotu, dokonanego szczęśliwie wśród niezwykłej grozy lawin. Dalsza niepogoda utrudniała tak dalece zwinięcie licznych obozów, że dopiero 20 paźdź. ekspedycja opuściła lodowce Kańchendzöngi.

Rezultaty uzyskane przez Niemców — naśladujących zresztą w zupełności wzory angielskie w organizacji i taktyce (tragarze, obozy i t. d.) — są świetne, mimo, że nie udało się im nawet zbliżyć poważnie do angielskiego rekordu wysokości (8574 m, Norton i Sommervell, 4. VI. 1924). Udowodnili bowiem, że i na wysokościach ok. 7000 m można pokonywać trudności terenowe najwyższej miary. To też czyn ich jest niewątpliwie najświetniejszym sukcesem alpinistycznym pięciolecia 1925—1929. Natomiast, znając dzieje angielskich wypraw Everestowych, nie możemy uwierzyć zapewnieniom niektórych sprawozdań z tej ekspedycji, jakoby należało «die Ersteigung der dritthöchsten Berges der Erde eigentlich als gelungen anzusehen», ponieważ teren między miejscem odwrotu a szczytem ma być rzekomo pozbawiony trudności technicznych. Pomijając już to, że każdy szczyt jest «eigentlich» zdobyty dopiero wtedy, gdy się stanęło na nim swą autentyczną stopą, nie uwzględnia się w rzeczonych sprawozdaniach pewnego decydującego czynnika: niskiego ciśnienia, które — jak się Anglicy o tem dotkliwie przekonali — zaczyna swe działanie na dobre dopiero od 7500 m. Jeśli zważymy, że najwyższy obóz niemiecki był właściwie na wysokości równej Przełęczy Północnej (Czań-la), skąd wielokrotne ataki dwóch ekspedycyj (1922 i 1924 r.) nie zdołały dotrzeć do szczytu Everestu, mimo braku również wybitniejszych przeszkód terenowych, — to uznamy, że problem Kańchendzöngi absolutnie rozwiązany nie został.

Pokusi się o to druga ekspedycja niemiecka, tym razem z udziałem Szwajcarów i Anglika, która wyruszyła już b. r., jednak nie śladem, wskazanym przez poprzedników. Udało się mianowicie otrzymać od władcy Nepalu pozwolenie wkroczenia na jego terytorjum, wobec czego atak przeprowadza się tym razem od zachodu, drogą wskazaną jeszcze przez Freshfielda, jako najłatwiejszą możliwość osiągnięcia szczytu. Dlatego też wyprawa tegoroczna, znajdująca się już obecnie w lodowcach Kańchendzöngi — zorganizowana zresztą z niezwykłym luksusem — ma duże szanse powodzenia. Najwybitniejszymi jej członkami są: kierownik dr. Günther Dyhrenfurth z Zurichu, który i w Tatrach chlubnie swe imię zapisał, H. Hörlin ze Stuttgartu, E. Schneider z Brixlegg, F. C. Smythe z Londynu i inż. U. Wieland z Ulm. Rozmach, który okazują obecnie Niemcy w swej działalności górskiej (6 wielkich wypraw pozaeuropejskich w ciągu 3 lat!) wysuwa ich narazie na pierwsze miejsce w świecie. Niewątpliwie jednak będzie on bodźcem, który podnieci Alpine Club, drzemiący od chwili katastrofy Mallory'ego i Irvine'a. *jkd.*

W ostatniej chwili dowiadujemy się, iż druga ekspedycja niemiecka zrezygnowała już z ataku na Kańchendzöngę. Red.

# Z PIŚMIENNICTWA

**Pisma taternickie Mieczysława Szczuki.** Dnia 13 sierpnia 1927 r. zginął w Tatrach człowiek, o którego usterkach taternickich długo, i do dziś, przesadne chodziły wieści — którego natomiast przełomowe znaczenie w dziejach współczesnego taternictwa nikomu w owym czasie nie było świadome. Świetny artysta,

nazwany «wodzem polskiej moderny» [1]) — wniósł Szuka w powojenne taternictwo dwa elementy działań, które w latach współczesnych ton mu nadają: odmienność psychicznego podejścia do gór, podejście sportowe i pozbawione cech romantycznego poddawania się groźnej przyrodzie (podejście, z którego w czasach ostatnich wyniknęły takie wspomnienia górskie jak «Zdobywanie rekordu» J. A. Szczepańskiego lub «Zrobiliśmy Małą Śnieżną» W. Stanisławskiego) — oraz świadomą dążność pobicia przedwojennych rekordów trudnościowych, dążność, której sukces nie może już być zakwestjonowany. Przed pierwszym Szczuką powinni bić czołem ci, którzy uznali wielkość rekordów wspinackich 1929 roku.

Przedwczesny zgon Szczuki uniemożliwił mu w taternictwie działalność pisarską, o której marzył i do której się energicznie przygotowywał. Za życia ogłosił tylko jedną krótką notatkę — w Nrze 1-szym (z marca 1927 r.) czasopisma warszawskiego «Dźwignia», którego był redaktorem — na modny ówcześnie temat Malloryzmu. Nie stronił jednak od pióra i w papierach jego znaleziono sporo materjału, pierwszych rzutów wspomnień górskich, artykułów, projektów — a także przepyszny cykl wspinackich studjów rysunkowych. Pewne fragmenty jego «zapisek taterniczych» (określenie redakcji «Dźwigni») ogłoszono następnie w 5-tym (listopad 1927 r.) i 8-mym (lipiec 1928 r.) nrze tego czasopisma. Wskazujemy na nie: ponieważ okazały się jednemi z najlepszych artystycznie szkiców taternickich, jakie ogłoszono w języku polskim. Na ich podstawie musimy stwierdzić, że taternictwo straciło w Szczuce nietylko doskonałego wspinacza, ale i świetnego pisarza.

Wykształcony na najlepszych wzorach współczesnej literatury, z którą miał bliski kontakt (aczkolwiek główną jego pasją była architektura) — umiał Szczuka zastosować swe zdobycze do studjów z Tatr. Proza jego odznacza się celową zwięzłością, nowoczesnem obrazowaniem, wyrobionym choć impulsywnym stylem, umiejętnością dobycia z chaosu wspomnień tylko tego co istotne i artystycznie wartościowe. Taki opis, jak zimowego przejścia grani Wierchu pod Fajki, jest prawdziwem wzbogaceniem zimowego piśmiennictwa taternickiego. I nawet suchy, sprawozdawczy obraz głośnej próby wyjścia na Rumanowy Szczyt z Doliny Kaczej w 1926 r. (którego Szczuka był inicjatorem) nabiera w jego ujęciu żywości, nieledwie laików zainteresować mogącej. Doskonałą zaś jest impresja z akcji ratowniczej na Małym Kozim Wierchu. Jest to już kraina — sztuki.

Również dopiero po śmierci Szczuki wydał A. Stern poemat «Europa», którego stronę graficzną i do którego sugestywny fotomontaż Szczuka skonstruował. Fotomontaż ten zamyka się rysunkiem południowej ściany Zamarłej Turni, ujętym w czarne ramy. Skąd ilustracją społecznikowskiej, miejskiej «Europy» — ściana taternicka, i w żałobnej glorji? Psychika Szczuki była opętana Tatrami, jak jest nimi opętana psychika każdego istotnego taternika. *J. A. Szcz.*

**Wierchy.** *Rocznik poświęcony górom i góralszczyźnie.* Organ Pol. Tow. Tatrz., wydawany przez Zarząd Główny, łącznie z Oddziałem Lwowskim Towarzystwa. Rok siódmy. Str. 6 nlb + 216 + XLI. Kraków 1929.

Gdy w 1925 r. M. Świerz («Taternik» z 1925 r., str. 32) wyrażał przekonanie, że «Wierchy» nadal pozostaną wierne poświęcaniu wiele miejsca sprawom turystyki wysokogórskiej — był wyrazem bezspornego chyba poglądu, że w górach polskich pierwsze miejsce przypada Tatrom, a w Tatrach taternictwu. Że zatem szerokie uwzględnianie tego działu jest koniecznością czasopisma, polskim górom poświęconego. Tymczasem w paru latach ostatnich zauważyliśmy stałe zmniejszanie się działu taternickiego w «Wierchach», a zmniejszanie to, w roczniku, który chcemy omówić, doszło do wyraźnego bojkotowania taternictwa. Najważniejszy przejaw działalności polskiej w górach — taternictwo polskie — nie znalazło w «Wierchach» wogóle miejsca dla siebie. Uważamy ten fakt za jeden z przykładów osobliwości życia polskiego. Redakcja «Wierchów» tłumaczy się wprawdzie, że od «zajmowania się taternictwem w ściślejszem znaczeniu» uwalnia ją jakoby regularne wychodzenie «Taternika» — ale nikt przecież nie żąda i nie żądał od «Wierchów» wprowadzenia rubryki «Skalnych dróg» lub publikowania dokładnego zestawienia «nowych dróg». Taternictwo nie ogranicza się do fachowych materjałów, ogłaszanych w naszem piśmie. Jego nieobecność w «Wierchach» nie może być niczem usprawiedliwiona.

Zaledwie trzy notatki w «Kronice» dotykają tematów taternickich, z którémi wiąże się ponadto jeszcze tylko opowiadanie Marjusza Zaruskiego «W śtyrbnych miejscach», przypominające znane już z innych publikacyj przygody generała w Tatrach i na Północy. Trudno te pozycje uważać za właściwe wypełnianie działu taternickiego.

---

[1]) Herwarth Walden w miesięczniku «Der Sturm» (Berlin) w nrze z kwietnia 1928 r., poświęconym działalności Szczuki.

W całym rocznik znać wogóle pewne zmęczenie. Na jego czoło wysunięte zostały niefrasobliwe historyjki St. Barabasza «Niedźwiedź w Tatrach», ogłoszone już nietylko, jak podaje redakcja, w «Łowcu» ale i w osobnej broszurze (Lwów 1916 r., nakł. autora, str. 47). Omijając artykuł podhalski, z przyjemnością zatrzymujemy się przy omówieniu Groty Kasprowej Niżniej (S. Zwoliński), zaopatrzonej w interesujące zdjęcia i plany i stanowiącej b. wartościowy przyczynek do badań «podziemi tatrzańskich». Po mimowiednie komicznym opisie beskidzkich wędrowań M. Nunberga, idzie omówienie Stawów Rohackich (A. Gadomski). W artykule tym niemile uderza bałamuctwo imiennicze [str. 84: «Średni Zielony Wierch (2163 m)», str. 87: «Przedni Zielony Wierch (2163 m)»].

Bardzo zajmujące (także ze względów historycznych) jest obszerne «wspomnienie narciarza» (R. Kordys) «Przez siedm gór i przez siedm dolin», ale odnosi się w całości do Karpat wschodnich. Obszerna «Kronika», z właściwą «Wierchom» sumiennością i skrupulatnością omawia «Tworzenie górskich parków Narodowych w Polsce» i wogóle wszelkie problematy z ochroną przyrody związane. Szczegółowych notatek doczekało się także Muzeum tatrzańskie, «Zakopianie u Focha», badania naukowe i kronika zakopiańska. W rubryce «Piśmiennictwo», niewiele zdań — nieco złośliwych — oddano również «Taternikowi». Pozatem uwzględniono jeszcze w «Kronice» — jako jedyny tatrzański dział «Turystyki»! — sprawozdanie T. O. P. R., oraz — bardzo zwięźle — zgon ś. p. Świerza. Referent katastrof tatrzańskich nie zawahał się przed notowaniem zabobonnych i snobistycznych szczegółów, a zdradza pozatem rozbrajającą (a w «Wierchach» niedopuszczalną) nieznajomość topografji i warunków taternickich. Referent całkiem poważnie pisze o «żlebie Drege'a» i o «miejscu po południowej stronie Kopy Lodowej nad stawkiem pod Przełęczą»; ś. p. Świerz zginął — jego zdaniem — w połowie pd.-zach. ściany Kościelca, i t. d. Błędy takie mogą być wybaczone tylko w dziennikach, sprawozdanie T. O. P. R. wywiera przygnębiające wrażenie.

Wreszcie równie przykry szczegół. Syntetyczne, przyjacielsko ujęte «Wspomnienie o Mieczysławie Świerzu» (pióra K. Piotrowskiego) poprzedza niepodpisana notatka «Ś. p. Mieczysław Świerz». W notatce tej czytamy (str. 179), że Zmarły «był zaciętym «ochraniarzem» co wyróżniało go wybitnie od całego szeregu taterników-wpinaczy, którzy uważając Tatry za narzędzie sportu, pozostają obojętni wobec sprawy dla prawdziwych miłośników gór najważniejszej, sprawy zachowania ich w ich pierwotnej krasie». Skąd ten zdumiewający zarzut, i gdzie red. «Wierchów» zna takich «taterników-wspinaczy»? Problematów ochrony przyrody wogóle nie omawia się w kołach taternickich, jako kwestji oddawna oczywistej i przyjętej przez każdego. Wysunięcie przez «Wierchy» cytowanego wyżej zarzutu — w związku z innemi podkreślonemi przez nas objawami — świadczy, że zdają się one — niestety — tracić kontakt z dzisiejszością taternicką. Obyśmy się mylili! *n. d.*

**Zygmunt Wasilewski.** *Pieśń w górach.* Nakł. Tow. Wydawn. «Patria». Warszawa 1930. Str. 172.

Niezgodna w swej treści z tytułem — złożona z sześciu nie łączących się z sobą rozpraw, w których i publicystyczny, przedwojenny artykuł o Hucułach i współczesne zapiski o Istebnej znajdują miejsce — jest książka Wasilewskiego ciekawa przedewszystkiem, jako hołd złożony górom przez człowieka ani w drobnej mierze czynnie z niemi nie związanego, jest ciekawa jako samodzielne podejście do gór niejako z zewnątrz. Stanowisko takie, niosąc ze sobą choćby zachwyt, musi być równocześnie pełne bezradności. Wobec «Tragedji muzyka» (wspomnienie o Karłowiczu), Wasilewski jest żałośnie bezbronny. Mogąc na nią spojrzeć tylko wtórnie, oczami cytatów z «Taternika», widzi w niej «coś triumfu przyrody nad sztuką». To schyłkowe «młodopolskie» stanowisko występuje wyraźnie w rozprawie «Poeci w Tatrach», usiłującej po omówieniu (zresztą nie przynoszącem ciekawszych szczegółów) ostatniej (1873 r.) podróży Goszczyńskiego do Tatr — dać również obraz zmian ideowych, znaczących się między poezją tatrzańską Goszczyńskiego, Asnyka i — nakoniec — Tetmajera. Wasilewski zatrzymuje się u progu czasów współczesnych. Gdyż — jego zdaniem — «dostępu do tajemnic ducha Tatr sztuka poszukuje w instynktach ludu». Jak wiemy, lud jest górom alpejskim zasadniczo obcy («bezwartościowość» gór).

Ozdobą książki — i najobszerniejszą jej częścią — jest cenna monografja «życia i prac Jana Gwalberta Pawlikowskiego», zatytułowana — jakże trafnie! — «Na wyżynach kultury». Jest to dar, należny temu niezwykłemu uczonemu i taternikowi, obchodzącemu w b. r. 70-lecie urodzin i 50-lecie działalności. Przez pokrewny stosunek do przyrody — znajduje Wasilewski właściwą drogę do zrozumienia psychiki Pawlikowskiego. Taternik b. niewiele mógłby dodać do nakreślonego przez niego obrazu. Obok Karłowicza jest Pawlikowski najwybitniejszym

ideologicznie przedstawicielem tej wielkiej epoki taternictwa, którą dopiero huk dział w Europie zamknął. Ale jeszcze dziś, na posterunku w «Wierchach», jest Pawlikowski siłą i reprezentantem dodatnich elementów dawności. *n. d.*

**Zima.** *Czasopismo poświęcone sportom zimowym i turystyce zimowej.* Rocznik I. Warszawa-Kraków 1929—1930. Nr. 1—4.

Trzy najsilniejsze polskie zimowe związki sportowe (narciarski, hokeja na lodzie i łyżwiarski) rozpoczęły z sezonem 1929/30 wydawanie perjodycznej publikacji p. n. «Zima» (redaktor: Stanisław Faecher), której pierwszy rocznik już jest zamknięty («Zima» wychodzi tylko od grudnia do kwietnia). W ukazaniu się tego czasopisma witamy objaw otrzeźwienia z boiskowo-zawodniczej gorączki kierujących sfer, narciarskich zwłaszcza — «Zima» usiłuje bowiem rozpiąć pomost między bieżnią a zimową turystyką. Czy jej się to uda — i czy możliwy jest kompromis między «zawodami o mistrzostwo» a sukcesami turystyki — nie chcemy w tej chwili osądzać. Chętnie natomiast stwierdzamy, że «Zima» użycza sporo miejsca kwestjom turystycznym i że dla zimowego taternictwa może sobie zdobyć duże znaczenie.

Nie naszą jest rzeczą interesowanie się — nader obszernie zresztą w «Zimie» omawianemi — rezultatami meczów narciarskich, hokejowych i t. p., tabelami narciarskich odznak za sprawność i sporami organizacyjnemi — wskazujemy odrazu na prace o szerszym oddechu. Wyróżnić wśród nich musimy krótki szkic J. A. Szczepańskiego o zimowej wycieczce od pn.-wsch. na Jastrzębią Turnię (Nr. 1). Opis traktowany skrajnie sportowo — zresztą literacko na poziomie — ma tytuł «Zdobywanie rekordu». Autor twierdzi, że wyprawą swoją «posunął naprzód granicę uzyskanych zimą sukcesów tatrzańskich». Otóż: gdzie materjał porównawczy?

W tymże 1-szym Nrze J. K. Dorawski zwracał się do adeptów zimowego taternictwa z apelem o «Nieco rozwagi». Ostrzeżenie zlekceważono — nie zawsze, niestety, z pomyślnym wynikiem. W nrze 3-cim omówił również Dorawski ostatni sezon zimowy w Tatrach.

Z feljetonu Kronikarza «Z niedawnej przeszłości Zakopanego» (Nr 2) można się dowiedzieć paru interesujących, a nowych szczegółów o pierwocinach ruchu narciarskiego na Podhalu — na podstawie artykułu W. Midowicza «W kraju wiatrów i lawin» (Nr. 4) możnaby mniemać, że trudy fungującej zimą przy Pięciu Stawach Polskich stacji meteorologicznej mogą być porównane, conajmniej, z ekspedycjami na bieguny i na Everest. P. Midowicz drukuje «bohaterski» fragment dziennika swojej «Ekspedycji», o lawinach w Roztoce pisze, że mu «z głuchym łoskotem spadały dniem i nocą — szły zewsząd», a tymczasem «zapas żywności kończył się — następny transport czekał u dołu w Roztoce aż lawiny uspokoją się nieco — schronisko było odciętem od świata...» Umyślnie zacytowaliśmy ten zabawny wyjątek, widzimy bowiem w *reklamowaniu* swoich czynów, coraz częstszy i niepokojący objaw, znośny do pewnej granicy, ale po przekroczeniu jej...

Strona graficzna «Zimy» jest bez zarzutu. Niektóre ilustracje pierwszorzędne. Wątpliwości (artystyczne) wzbudzają tylko barwne okładki (dwie z nich, lepsze, S. Osieckiego). «Zima» jest pismem głównie narciarskiem — nie dziwimy się więc fetyszyzmowi narciarskiemu, jakim odznaczają się (w Nrze 1-szym, najlepszym z dotychczasowych) prace R. Malczewskiego, J. G. H. Pawlikowskiego, W. Midowicza i H. Szatkowskiego. Samouwielbienie sportowców boiska jest objawem znanym i przez samych prozelitów areny nieraz wydrwiwanym. Dr. Szatkowski jest w kłopocie, kogo wyżej cenić, uczestnika biegu zjazdowego, czy taternika zdobywającego «grań lub ścianę». «Konflikt młodych ze starymi» ubiera w szatę feljetonowych frazesów — a poczciwych, skromnych zawodników, nikomu jakoby nieznanych i niemych na temat swych sukcesów, przeciwstawia «zaprzysiężonemu taternikowi kokietującemu słuchającą publiczność opowieścią o swym flircie ze śmiercią». Mijanie się z rzeczywistością — zadziwiające. *(aek)*

## *OD WYDAWNICTWA*

*W czasie wakacyjnym, t. zn. od 1-go lipca do 30-go września wszelką korespondencję do Redakcji i Administracji «Taternika» kierować należy do Dworca Tatrzańskiego w Zakopanem.*



Wydawca: Sekcja Turystyczna P. T. T. Redaktor naczelny i odpowiedzialny: S. K. Zaremba

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.